Cena 60 groszy

MARJA-JEHANNE WIELOPOLSKA W ODPOWIEDZI ADOLFOWI NOWACZYŃSKIEMU

WIADOMOŚCI LITERACKIE

TYGODNIK

Dziś 6 stron

MAH JONGG
! MODNA CHIŃSKA GRA !

T-wo Komispol S-A
Nowy Świat 61. Warszawa 16 Krak. Odzież

Nr. 2 (54) Warszawa, Niedziela 11 stycznia 1925 r. Rok II

U Leopolda Staffa

Wywiad specjalny „Wiadomości Literackich"

Wywiad! Mój Boże, jakie to jednak trudne przedsięwzięcie, nigdybym nie był przypuścił... — myślę z zakłopotaniem, występując po raz pierwszy w charakterze dziennikarza-interviewera. Jako pierwszą „ofiarę" wybrałem Leopolda Staffa, ukochanego mego mistrza i serdecznego przyjaciela: sądziłem, że pójdzie łatwo... Początek jednak debjutu wypadł niefortunnie. Na pracowicie formułowane pytania „urzędowe" otrzymuję odpowiedzi skąpe, lakoniczne, jakby niechętne... co gorsza, gdy tylko usiłuję zanotować jaki szczegół rozmowy, Staff wstrzymuje mię, cofa złożone już „zeznania"... najwidoczniej moja wizyta tym razem go krępuje.

— Niedobrze, — myślę, — cały mój wywiad idzie jak po grudzie... może lepiej dać pokój tej procedurze...

I ta decyzja właśnie okazuje się zbawczym pomysłem: ciskam ołówek, zgnieciony arkusik papieru rzucam do kosza... Staff uśmiecha się z wyrazem zadowolenia... i oto za chwilę już siedzimy tuż obok siebie w zacisznej bibljotece wielkiego pisarza, i zaczyna się między nami jedna z tych długich, miłych, niewymuszonych gawęd „o wszystkiem i o niczem", obfitujących w momenty, których się już nie zapomina. Od czasu do czasu przecie budzi się we mnie „wywiadowca" świadomy swej roli: wtedy zadaję dyskretnie dwa trzy kontretne pytania, na które Staff chętnie odpowiada z uprzejmym uśmiechem na ustach. Dwugodzinna gawęda mija niepostrzeżenie... czas pożegnać mistrza. Śpieszę do domu, aby coprędzej podzielić się z czytelnikami garścią wiadomości, jakie udało mi się w ten sposób otrzymać od tego małomównego i nieznoszącego wywiadów pisarza.

Stosownie do klasycznego katechizmu „wywiadowcy" protokółuję następujące momenty rozmowy z Leopoldem Staffem.

— Czy ma pan obecnie coś przygotowanego do druku?

— W najbliższym czasie ukaże się nowy tom poezyj, pokłosie ostatnich dwóch lat; całość jest już gotowa, teraz mozolę się jedynie nad tytułem i spisem rzeczy. To bardzo ciężka sprawa...

— A co pan ma na warsztacie?

— Na dalszym planie mam jeszcze jeden zbiór drobnych poematów, zbieram to sobie powoli. Tytuł mam tym razem właśnie ustalony: cały cykl będzie miał nazwę: „Pięć zmysłów".

— Jako znany „staffista" (dość mi tego nawypominano!) posiadam w swej bibljotece wszystkie dzieła pana. Brak mi jedynie „Mistrza Twardowskiego", którego jedyne dotychczasowe wydanie jest już oddawna wyczerpane. Kiedyż ukaże się drugie?

— Jest już gotowe i wkrótce zostanie puszczone w świat. Będzie to właściwie zupełnie nowa redakcja tego młodzieńczego utworu. Poczyniłem w nim sporo zmian i dopiero niedawno pracę tę zakończyłem.

— Ale chyba nie ruszył pan tej przecudnej modlitwy, zaczynającej się od słów „Odsuń mi, Panie, na jesień żywota czas dojrzewania... Oto stoję w wiośnie"... — nie mogę powstrzymać się: recytuję na pamięć cały ustęp.

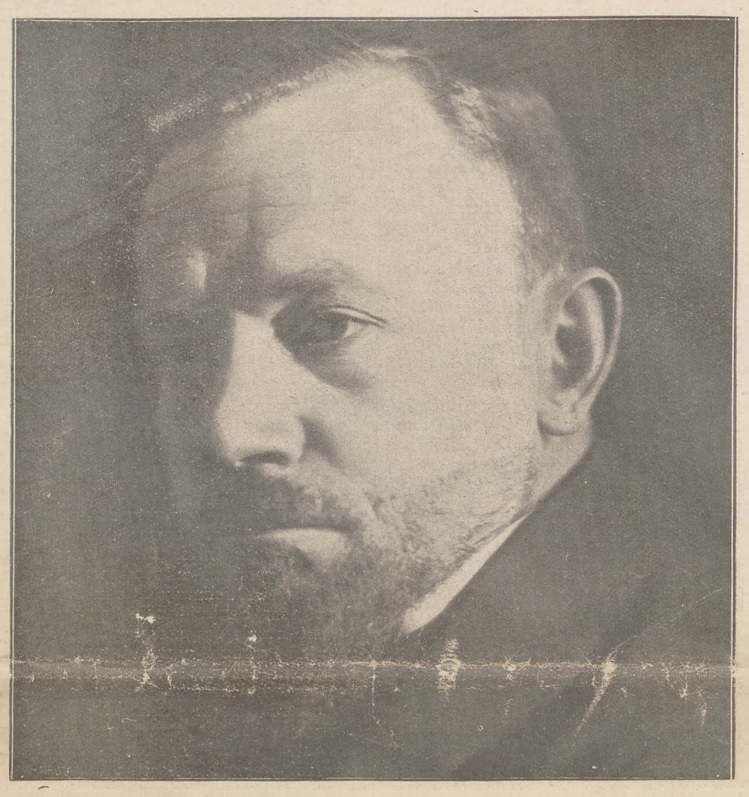

LEOPOLD STAFF
wykonał dla „Wiadomości Literackich" zakład fotograficzny Karola Pęcherskiego

Staff uśmiecha się. Obu nas nawiedza to samo wspomnienie — owego wspólnego wieczoru u Fukiera... było tam jeszcze dwóch młodych poetów — dziś już obydwaj są sławni... Każdy z nas spowiadał się z pierwszych wrażeń, zachwycających serca i budzących mamiętności twórcze... każdy wyznał, że poezja jego ze Staffowej liryki wyrosła, z tych świetnych niezapomnianych wierszy, niezapomnianych w najbardziej dosłownym sensie: poczęliśmy recytować te wiersze na przemiany, jeden po drugim... tyle umieliśmy ich na pamięć... Piękny moment, pełen tak prostego patosu...

Po chwili zadaję mistrzowi pytanie:

— Co pan sądzi o twórczości swych najmłodszych kolegów?

— Nowa nasza poezja rozwija się znakomicie, i kontakt z nią jest mi nadzwyczaj miły. O osobistych moich sympatjach wolę jednak nie mówić obecnie: nie chcę wymieniać żadnych nazwisk, ze względu na to, iż należę do komisji obradującej nad przyznaniem nagród literackich, ufundowanych przez związek księgarzy. W pracach tych obowiązuje oczywiście najściślejsza tajemnica, muszę tedy powstrzymać się od wszelkich intymniejszych wynurzeń na ten temat.

— Jeszcze jedno pytanie: czy w dziedzinie dramatu przygotowuje pan coś nowego?

— Mam na ukończeniu dawno już zapowiadanego „Króla Kodrusa" — będzie to tragedja pisana mową niewiązaną. Pracuję też nad poematem dramatycznym...

Tu Staff urywa, nigdy bowiem nie rozwodzi się na temat utworów jeszcze niewykończonych.

— Czy to już wszystko? — ośmielam się pytać, znając nadzwyczajną pracowitość „Fra Leopolda".

— Robi się tam coś nie coś z przekładów... może przyjdzie czas na antologję włoską — nabrałem do tego nowej ochoty po mej ostatniej podróży do Włoch: pierwsze to odwiedziny od czasu wojny, a wogóle — czternaste...

Na zakończenie wreszcie rzucam stereotypowe pytanie:

— Która z książek jest panu osobiście najdroższa?

Poeta odpowiada bez wahania:

— Pierwsza: „Sny o potędze"...

Zaczem po chwili dodaje:

— I ostatnia, to jest właściwie ta, której jeszcze niema...

I cichutko wygłasza znany ustęp z wiersza Haraucourta:

„Les plus beaux vers sont ceux qu'on n'écrira jamais"...

Gabrjel Karski.

Nagrody wydawców

Nagrody wydawców za r. 1923-4 przyznano: za poezję — **Janowi Lechoniowi** i **Kazimierzowi Wierzyńskiemu**, za prozę — **Marji Dąbrowskiej** i **Jarosławowi Iwaszkiewiczowi**, za krytykę — **Janowi Lorentowiczowi** i **Ostapowi Ortwinowi**

Okno na Europę

P. E. N-Club w Warszawie

Z inicjatywy Stefana Żeromskiego odbyło się niedawno zebranie literatów polskich, poświęcone założeniu P. E. N.-Clubu, którego zadania inicjator wyznaczył w ogólnym zarysie w wywiadzie, udzielonym „Wiadomościom Literackim" (nr. 51 z 1924 r.).

Na temat ten nasuwają się refleksje, które może oświetlą nieco zagadnienie solidarności autorów w Polsce. O ile potrzeba organizacji ogólno - literackiej uznana została zagranicą za bezsporną, o tyle u nas jest ona wprost konieczna. Już na zebraniu wstępnem stwierdzono, że literatura nasza znajduje się nie tylko na peryferji literatury światowej, lecz że we własnem społeczeństwie zeszła do poziomu czynników drugorzędnych. Jeżeli nawet znakomity powieściopisarz podkreśla specyficzny sposób traktowania u nas literatów, to nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że interesowani przypisać muszą sobie część winy; również na swój rachunek — przyjąć muszą stosunkową ignorancję literatury polskiej zagranicą.

Decydującym powodem tego stanu jest w obu wypadkach brak odpowiedniej reprezentacji, brak korporacji literackiej. Stąd też okno, przez które literat polski mógłby śledzić stosunki intelektualne i materjalne zagranicą, jest zabite deskami; silnych trzeba rąk i zdecydowanej woli wszystkich, by wpuścić trochę światła na polskie podwórko.

Samopas - sywizm, brak poczucia łączności, — oto zjawisko, którego nie obalają nawet istniejące już zrzeszenia. Możnaby twierdzić, iż wiąże się to z zawodem, dla którego zabójstwem byłoby posłuszeństwo statutowe i organizacyjna dyscyplina. Lecz, mój Boże, przekonano się już w przeważnej ilości wypadków, że literacka wybujałość i swoboda działania znajdzie się z czasem, zamknięta w ramy książki, na biurku księgarza-kupca i przybiera wówczas konkretną formę umowy o honorarjum. W tem właśnie spoczywa sedno zagadnienia.

Dla regulowania stosunków wydawniczych, dla rozpowszechniania literatury polskiej w kraju i zagranicą, dla przeprowadzania badań nad nowemi kierunkami piśmiennictwa powinien istnieć stały organ reprezentacyjny pisarzy polskich, z pełną egzekutywą narzucania swych uchwał ogółowi. Taka organizacja zgalwanizuje siłę poszczególnych jednostek, a co za tem — podnosząc autorytet literatury — podniesie autorytet państwa. Pamiętajmy, że twórczość literacko - naukowa jest biletem wizytowym narodu. Wystarczy wskazać na literaturę niemiecką, która pomimo ogólnej do Niemiec nienawiści tłumaczona była na wszystkie języki i zacierała skutecznie zgrzyty zbrojeń wojennych, kształcąc cały prawie świat.

Działo się to przy pomocy poważnych organizacyj literackich i dzięki stałemu kontaktowi literatów niemieckich z zagranicą. Słowem, na skutek fachowej propagandy, której u nas brak. Aby pokazać zagranicy literaturę, trzeba umiejętnie obznajmić ją z wszystkiemi prądami, trzeba roztoczyć przed nią wszystkie barwy naszej twórczości. Najlepszym zaś ku temu sposobem byłby bezpośredni związek z zagranicznemi ośrodkami ruchu literackiego, utrzymywany przez ośrodek własny. Twórczość polska weszłaby wówczas w łańcuch solidaryzmu twórców całego świata, miałaby własny płomień na wielkim ołtarzu piśmiennictwa światowego.

I tu właśnie wyłania się kwestja, którą założyciele P. E. N.-Clubu niesłusznie usuwają na plan drugi. Otóż reprezentacja polska, zarówno jak każda inna, w skład klubu wchodząca, musiałaby siłą faktu nabrać charakteru politycznego. Notabene w znaczeniu polityki zagranicznej, a więc pozapartyjnej. Poszłaby zatem śladem innych, organizowanych w dobie obecnej związków, które zrzeszają się pod hasłem łączności międzynarodowej. Unja Międzyparlamentarna, Towarzystwo Przyjaciół Ligi Narodów, Liga Obrony Praw Człowieka, związki akademickie, związki inwalidów, związki oficerów rezerwy i cała plejada organizacyj zawodowych poszły już tą drogą. Nabiera się wrażenia, że narody dla wynagrodzenia zadanych sobie nawzajem krzywd łączą się po krwawej wojnie w wielką rodzinę, szukając wspólnych wytycznych w rozwiązywaniu zagadnień o znaczeniu ogólno-ludzkiem.

Niektórzy twierdzą, że tą drogą świat przechodzi w nowy system wojny. Że wojna orężna zastąpiona zostaje wojną o wpływy, które wszak stanowią alfę i omegę zdobyczy gospodarczych. Że centrala tego czy owego związku, wyłaniając samodzielne pozornie oddziały narodowe, zapewnia sobie na wypadek potrzeby platformę działań. Może to „nihil sine causa" ma i pewną rację. Wychodząc z założeń ekonomicznych, zawsze dojdziemy do ludzkiego utylitaryzmu. Wszak R. St. Bakker, odsłaniając w pamiętnikach Wilsona kulisy filantropijnej amerykańskiej akcji pomocy ofiarom wojny, udowadnia w sposób wyraźny, iż akcja ta spowodowana była naciskiem farmerów, którym na wypadek nadmiernej podaży artykułów żywności, pozostałych z zapasów wojennych, groził krach finansowy. Rzucono więc do Europy nadwyżkę produkcji i w ten sposób — utile cum dulci — uchylono grożący niektórym narodom kryzys głodowy.

Otóż gdybyśmy i w naszym wypadku przyjęli, że inicjatywa angielska opiera się na utylitarnych przesłankach, można przecież zachować złoty środek między warunkami własnemi a korzyściami, jakie literat polski odniesie wchodząc do organizacji międzynarodowej. Pęd do współżycia z narodami innemi jest w obecnej dobie wynikiem nieubłaganej logiki, jest osaczeniem taktyki bolszewickiej i reakcją na międzynarodowe frazesy rządu sowietów. Albowiem zrzeszenie zachowuje najzupełniejszą niezależność myśli i czynów, a stwarza chrześcijański zalążek miłości bliźniego, który wszak dał początek koncepcji Ligi Narodów.

Sądzę, że źródłem nowych organizacyj wszechświatowych jest Liga Narodów. Ona właśnie stanowi kuźnię, w której przetwarzają się dawne pojęcia i wartości, skąd szerzy się idea powszechnego pokoju i współżycia narodów.

Sprzęt wojenny zastąpiony zostaje przez literaturę, która do najdalszych zakątków świata niesie hasło pokoju; żołnierzami są twórcy słowa pisanego. Ci właśnie żołnierze powinni iść na czele nowoczesnej armji, bez względu na przynależność partyjną, i zadać kłam jątrzącej bibule i mityngom na placu Czerwonym. Musiałbym przejść do truizmów, gdybym chciał uzasadniać międzynarodowe znaczenie literatury. Doniosła inicjatywa Stefana Żeromskiego mówi sama za siebie. Niechaj więc na literatach polskich, pierwszych piewcach organizacji narodowej, nie spełni się przysłowie o szewcu i jego podartych butach.

Zamierzony klub powinien zjednoczyć wszystkie literackie stowarzyszenia polskie, a jako oddział centrali londyńskiej połączyć literatów polskich z literatami świata. Jako organizacja reprezentacyjna, grupująca wszystkie odłamy literackie, powinien być bezpartyjny. Działając systematycznie i w sposób usystematyzowany, będzie instytucją propagandy imienia polskiego zagranicą, instrumentem wpływu na zagranicę, do czego przedewszystkiem przyczyni się odpowiednie ujęcie sprawy tłumaczeń autorów polskich na języki obce.

Henryk Gruber.

Nr. 3 (Mickiewiczowski) „Wiadomości" zawierać będzie m. in. artykuły **Juljusza Kaden-Bandrowskiego, Edwarda Boyé, Aleksandra Brücknera, Wilama Horzycy, Emila Kipy, Juljusza Kleinera, Manfreda Kridla, Władysława Mickiewicza, Jana Nepomucena Millera, Leonarda Podhorskiego-Okołowa, Juljana Tuwima, Józefa Ujejskiego, Stanisława Wasylewskiego** oraz wiersze **Mieczysława Brauna, Wilama Horzycy, Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego i Józefa Wittlina.**

Nr. 4 przyniesie wywiad z **Antonim Ossendowskim.**

Boy - Żeleński

„Apologja pani Hańskiej"

W zeszycie „Revue des Deux Mondes" z dn. 15 grudnia 1924 r. zamieścił artykuł pod takim tytułem p. Marceli Bouteron, wydawca kwartalnika „Cahiers Balzaciens" oraz pomnikowej edycji pism Balzaca. Treścią tego artykułu jest rewizja stosunku krytyki literackiej we Francji odnośnie do ukochanej, a później żony pisarza, primo voto p. Hańskiej, z domu hr. Rzewuskiej.

Biada, po trzykroć biada kobiecie, która wejdzie niebacznie w sferę życia wielkiego człowieka, a już najbardziej — wielkiego pisarza! Nie zazna spokoju za życia, nie zazna go i po śmierci. Pokolenia całe historyków literatury będą oskubywały margerytkę, odmieniając w nieskończoność: „Kocha — Nie kocha"... Szczęśliwi ludzie! My, zwykli śmiertelnicy, nie wiemy czasem, co mamy myśleć o uczuciach kobiety, z którą spędziliśmy przed godziną najsłodsze chwile, a oni to wiedzą z nieomylną pewnością po stu latach i piszą o tem całe dzieła. I to na podstawie ścisłych, najściślejszych dokumentów! Znajdą jakiś pożółkły liścik ciężki od słów miłości, — szepcą w rozmarzeniu: „Kocha! kocha!"... Znajdą dowód, że w piętnastym roku pożycia biedna kobieta zdradziła troszkę swego wielkiego człowieka, wołają z oburzeniem: „Nie kochała nigdy!"... Bo, jak wiadomo, lata dla historji inaczej płyną niż dla zwyczajnych śmiertelników; piętnaście lat dla historji to chwilka, dla serca kobiety to bardzo dużo...

Jedno im trzeba przyznać, to sumienność; nie pominą żadnego aktu, żadnego zeznania, które może dopomóc do rozświetlenia tego niekończącego się nigdy procesu. Wspomagają się metodą psychologiczną, czerpaną w grubych podręcznikach, a wreszcie i we własnych doświadczeniach miłosnych. Wreszcie — tam gdzie to jest możliwe — starają się zebrać zeznania klasycznych świadków.

Balzac, jak wiadomo, umarł w r. 1850. Kiedy Wiktor Hugo zaszedł odwiedzić umierającego, nie zastał przy łożu jego żony. Wiktor Hugo zanotował ten szczegół w swoich wspomnieniach („Choses vues"), a patetyczny styl jego padł całem brzemieniem na biedną kobietę: odtąd została dla historji literatury tą, której nie było przy łożu Balzaka! Może poprostu biedactwo, zmęczone ponad miarę czuwaniem, poszło się położyć na chwilę?... Wszystko jedno; pani Ewa miała przeciw sobie i to, że była cudzoziemką: to wystarczyło, aby tę, którą Balzac przez siedemnaście lat bez przerwy mieni swoim dobrym aniołem, napiętnować mianem jego złego ducha.

Nie koniec na tem! W r. 1907, a więc w 57 lat po śmierci pisarza, Oktawjusz Mirbeau ogłosił słynne swoje rewelacje tyczące ostatnich chwil Balzaka, oparte na osobistych zeznaniach malarza Jana Gigoux, wówczas jakoby kochanka pani Ewy, który miał spędzić tę właśnie krytyczną noc w jej pokoju, w jej łóżku nawet... Córka pani Ewy z pierwszego małżeństwa, hr. Mniszchowa, ogłosiła protest, Mirbeau skłonił się przed jej bólem, wycofał nakład książki (pod tytułem „628—E8") i wyciął te stronice, ale napróżno, już obiegły one wszystkie dzienniki i przylgnęły do imienia biednej kobiety, czyniąc ją tem bardziej antypatyczną czcicielom genjalnego pisarza. Aż naraz świeżo, rycerz pani Hańskiej, p. Bouteron stwierdza, opierając się znowuż na zeznaniach p. Lepret, który przez czterdzieści lat był sekretarzem malarza Gigoux, że ten Gigoux nie znał wogóle pani Ewy za życia Balzaka i że poznał ją dopiero jako wdowę. P. Lepret może to stwierdzić autentyczną korespondencją. Co więcej, tenże sam sekretarz kategorycznie oświadcza, że Gigoux nie znał p. Mirbeau i nigdy z nim nie rozmawiał, że więc tem samem owe rewelacje są wyssane z palca... Dziwna to nauka, ta historja literatury!

P. Bouteron nie poprzestaje na obaleniu owej krzywdzącej, a jak widzimy — na tak kruchych podstawach opartej legendy; podejmuje rewizję wszystkich uprzedzeń snujących się dokoła osoby pani Hańskiej, cytuje nieznane dotąd kartki z jej dzienniczka, pisanego tylko dla niej samej, a więc dającego niejakie gwarancje szczerości, przechodzi jeszcze raz dzieje tego arcyromantycznego romansu, rozgrywającego się na przestrzeni lat siedemnastu i na odległość kilkuset mil, aby w końcu dojść do tej konkluzji:

„Urzeczywistniła dla Balzaka, od pierwszego spotkania, ideał miłości, jaki sobie stworzył w wyobraźni i o którego możliwości zwątpił. Była dlań świetnym odwetem za wzgardę margrabiny des Castries; oddała mu od pierwszego dnia serce i przyrzekła rękę. Pokochała go do tego stopnia, iż w r. 1833, w pierwszym ogniu swej miłości, chciała wszystko rzucić, aby iść za nim. Następnie, mimo oddalenia, mimo lat, mimo jego niewierności, mimo uprzedzeń rodziny, wytrwała w swej miłości. Kiedy był stary, chory, zrujnowany, gościła go w swoim pałacu na Ukrainie przez wiele miesięcy; stworzyła mu ognisko; aby móc go zaślubić, zrzekła się większej części swego majątku; zgodziła się wieść z nim skromne życie, w mieście, którego nie lubiła, w otoczeniu, które nie było jej światem. Zapłaciła za Balzaka, za życia jego i po śmierci, kilkaset tysięcy franków długów, pielęgnowała go z niestrudzonem oddaniem. Wreszcie kiedy umarł, wówczas, mimo swoich sercowych słabostek, poświęciła swoje siły i inteligencję na wydanie i propagowanie dzieł Balzaka, na utrwalenie jego sławy".

„Jeżeli to nie wystarcza, — pyta p. Bouteron, — jeżeli to się nie nazywa kochać, czegóż wam trzeba jeszcze?"

Czy p. Bouteron przekona kogo? We Francji wątpię, jak można wnosić z komentarzy, z jakiemi spotkało się w prasie jego wystąpienie. Raz zadawnioną legendę niełatwo jest rozproszyć. Omawiając tę „apologję", krytyk w „Temps" odpowiada:

„P. Bouteron jest zdania, że p. Hańska szczerze kochała Balzaka i że mu dała szczęście. A jednak w „Listach do cudzoziemki" jest wiele skarg, które zdają się usprawiedliwione i dość obciążające dla Ewy Hańskiej. Czy nie jest dumne, że posiadamy tylko listy Balzaka? Któż tedy zniszczył listy pani Hańskiej? Oczywiście ona sama. Zatem nie miała powodu być z nich bardzo dumna. (O, Metodo!!) Tę niesłychaną zwłokę pomiędzy owdowieniem a nowem zamęściem p. Bouteron tłumaczy trudnościami spadkowemi i innemi podobnemi trudnościami. Liche to racje dla kobiety naprawdę kochającej! Przyznaje także, że jej arystokratyczna rodzina sprzeciwiała się temu mezaljansowi, i że wciąż zagmatwane położenie finansowe Balzaka nie było zachęcające. Czyż miłość liczy się z takiemi przeszkodami?"

Cóż za szczytne pojęcie miłości u tego literata, który zapewne sam, doszedłszy do wieku rozsądku, zerwał, w duchu uświęconych tradycyj, z milusią kochanką, aby zaślubić brzydką ale bogatą pannę albo wdowę! Ale na papierze żadnych kompromisów! Takiemi argumentami można dowieść, że Tristan i Izolda nigdy się nie kochali, gdyż historja ich pełna jest kompromisów i liczenia się z naciskiem względów społecznych.

Biedna pani Hańska! Bo, pomyślmy, czy jest wogóle kobieta, któraby wytrzymała taki krzyżowy ogień śledztwa, prowadzonego przez zawodowych znawców serca ludzkiego, śledztwa ciągnącego się przez całe wieki, wciąż wszczynanego na nowo na podstawie coraz to nowych świadectw i dokumentów? Możeby się taka i znalazła, ale obawiam się, że na jej widok ów genjalny pisarz drapnąłby gdzie pieprz rośnie...

W dodatku, jak wspomniałem, odnośnie do pani Hańskiej śledztwo to zawsze było we Francji prowadzone dość stronniczo. Ta ubóstwiana „cudzoziemka" Balzaka traktowana jest wyraźnie jako „natrętna cudzoziemka". Zdawałoby się, że czcicieli pisarza drażni to wyłączne i ogromne miejsce, jakie zajmowała w jego życiu; że ich drażnią te foljały korespondencji, w których Balzac słał hen do Polski wszystkie myśli, tak surowo się w nich obchodząc nieraz ze swymi rodakami. To też uprzedzenie do pani Hańskiej zapewne przetrwa; ale my Polacy nie mamy żadnego powodu go podzielać; i dlatego „apologja" p. Bouteron, najkompetentniejszego dziś znawcy Balzaka, może w nas budzić tylko sympatję.

Jakoż, szczególnym zbiegiem okoliczności, równocześnie z pojawieniem się artykułu p. Bouteron, przyszedł z polskiej strony sukurs temu obrońcy pani Hańskiej-Balzakowej. W jednem z pism francuskich ogłosiła księżna Katarzyna Radziwiłłowa, rodzona bratanica p. Hańskiej, część jej listów, pisanych do hr. Adama Rzewuskiego. Pobudką ogłoszenia tych listów, dotąd przechowywanych przez rodzinę, jest właśnie — jak pisze ks. Radziwiłłowa — obowiązek przeciwstawienia się „potwarzom, które rzuciły się na jej pamięć". Ale listy te zawierają tyle interesującego materjału, że omówimy je bliżej w nr. 4 „Wiadomości".

Autor którego nie znamy

Książka Andrzeja Maurois

Dialog oficera i filozofa

Dialogues sur le commandement. **André Maurois.** Paryż, Grasset, 1925; str. 10nl. i 182 i 4nl.

Zdawałoby się, że dialog to najdogodniejsza forma wyrazu dla subtelnego relatywisty: — ukazać kilka punktów widzenia i kilka postaci, z których każda ze swego punktu ma rację. To też widząc w witrynie tytuł, a nie znając autora, mógłby kto pomyśleć, że to jeszcze jeden Pirandello, wlokący się w ogonie filozofji relatywistycznej ze swą tezą „każdy ma swą prawdę". Tymczasem jest odwrotnie. Maurois napisał dialog nie dlatego, że jest dialektykiem, tylko dlatego, że nim nie jest.

W pewnym momencie jedna z osób przerywa mówcy słowami: „A jednak". Na to otrzymuje odpowiedź pierwszej: „Czułem właśnie, że musi być jakieś „a jednak". Ten moment charakteryzuje autora i tłumaczy psychologicznie potrzebę napisania dialogu. Nie potrzeba gry intelektualnej stanowi jego źródło. Przeciwnie: zmierzanie ku prawdzie i zrodzona z precyzji chęć restrykcyj i rozróżnień podyktowały tę formę.

Maurois należy do tego młodego pokolenia Francuzów, które jak najdalej stoi od sceptycyzmu i sybarytyzmu intelektualnego Anatola France. Stoi już tak bardzo daleko, że nie potrzebuje zwalczać go w taki sposób, w jaki to uczynili niektórzy jego koledzy po piórze w ulotce „Le cadavre" (por. nr. 46 „Wiadomości Literackich"). Autor nie wywala otwartych drzwi, nie walczy z „trupami" ani w literalnem ani przenośnem tego słowa znaczeniu. Ma na to zbyt wiele taktu, a takt to nie tylko subtelność — to poczucie rzeczywistości. Dzięki temu poczuciu jest on „pozytywniejszy" od nieprzejednanych pogromców romantyzmu, jak np. Barrès, którego racjonalistyczny upór jest mu równie obcy, jak sceptycyzm France'a. Maurois należy do tych „neorealistów", którzy na płaszczyźnie rzeczywistości i doświadczenia czują się bliżsi, jeśli nie romantykom to uczuciowcom, niż racjonalistom i deterministom. „Przyjmować za prawdę, — powiada pod ich adresem Maurois, — iż to, co stanie się jutro, jest już dziś wyznaczone, to znaczy odbiegać bardzo od rezultatów doświadczenia". Ten „neorealizm" każe też autorowi twierdzić: „Jeśli portrety Plutarcha są większe od rzeczywistości, którą miały przedstawiać, — tem lepiej. Właśnie imaginując sobie wciąż bohatera, można go w końcu stworzyć".

Filozofja tego autora wyrosła zarówno z myśli jak i czynu doświadczenia. Dlatego też obca jest racjonalizmowi jak i temu typowi woluntaryzmu, który znakomicie scharakteryzował i ośmieszył Chesterton. „Chcieć — powiada on — to nie znaczy mówić tylko, że się chce, to przedstawić sobie silnie i jasno, jak się będzie działało". Oczywiście poszczególne cytaty nie mogą wprowadzić nas w t o k tego rozumowania, który jest najciekawszy. Całokształt poglądom jego nadaje ideologja. Sadząc Nietzschego, Brzozowskiego lub Chestertona jako filozofów lub artystów, stosuje się niewłaściwe kryterjum — to byli przedewszystkiem i d e o l o g o w i e, propagatorzy pewnych haseł. Już „Ariel ou la vie de Shelley" tegoż autora wskazuje nam, że Maurois potrafił stopić w sobie artystę z uczonym. Ale to nie wszystko. Jeśli krytyka francuska uważa „Dialogi" Maurois za szczytowy moment jego rozwoju, za dzieło, w którem wypowiedział się w całej pełni, — to ma słuszność. A słuszność ma dlatego, że w tej książce ukazuje się wyraźne oblicze autora: myśl i artyzm ukazują się jako czynniki jego ideologji, jego wyznania wiary. Może też najodpowiedniejszą „oceną" byłoby stwierdzenie, że solidaryzuję się z tą ideologją, jest mi ona wysoce sympatyczna, wszystkie inne oceny nie trafiłyby w sedno sprawy, tak jak nie trafiają w sedno sprawy oceny Nietzschego lub Brzozowskiego jako filozofów.

Na sympatyczność tej książki składa się kilka czynników.

Autor ma w sobie coś z psychiki mocnej, zdrowej części Francji, tej Francji, która wygrała wojnę. Jest i coś nam bliższego: w sposobie stawiania problematów filozofji życiowej. Odczułem w tej książce coś, co mi bardzo przypomniało sposób myślenia inteligencji, która wyszła z I Brygady. Ale jednocześnie dołącza się tu urok pierwiastka, specyficznie francuskiego: precyzyjna subtelność myśli.

U nas, w dobie chwalby „czystej poezji" i czystej nauki, niechętnie czyta się pisarzy tego typu, co Maurois. On przedewszystkiem troszczy się o to, co u nas dziś niemodne zupełnie: o charakter. Ten rzekomy eklektyzm, połączenie sfery myśli, artyzmu, działania w jedność, jest właśnie dążeniem do typu pełnego człowieka. Postaciami tego dialogu są porucznik i filozof, i ten fakt artystycznego wyrazu charakteryzuje doskonale autora. W tych dwu rzutach wyraża się całkowicie: zdobywczy, kształtujący życie czyn — i filozofja, która z niego wyrasta. A artyzm? Artyzm wyraził się w wielkiej subtelnej powściągliwości... artyzmu. Jest w nim tyle specyficznie francuskich cech, że czyta się tę książkę lżej niż np. Chestertona. Poważną, pełną zamyślenia, ale zarazem wpatrzoną w rzeczywistość sylwetkę autora ukazuje nam ta książka. Ten specyficzny rodzaj zamyślenia, ta troska o zgodność precyzyjną myśli z rzeczywistością, wyłącza wszelką pogoń za paradoksem.

Na pochwałę dialogu jako formy, powiem, że nie można go streścić, był on artystyczną koniecznością. Zamiast silić się na to streszczenie, wolę zachęcić do czytania oryginału.

Stefan Kołaczkowski.

Nagroda Goncourtów za r. 1924

Thierry Sandre

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich"

Paryż, w grudniu 1924.

Od czasu kiedy nagrodę Goncourtów przyznano książce René Marana „Batouala", publiczność z pewnym sceptycyzmem zaczęła odnosić się do laureatów wyróżnionych przez areopag „Dziesięciu". Jakiem bowiem kryterjum posługuje się w swojej ocenie sławetne jury? W szerszych kołach panuje ogólne przekonanie, że nagrodzona bywa „najlepsza" albo jedna z najlepszych książek dorocznej producji! Inni znowu widzą w tem odznaczeniu zachętę dla talentu młodego autora, którego początki są zawsze trudne. Ale w gruncie rzeczy nie chodzi tu ani o młodego pisarza, ani o

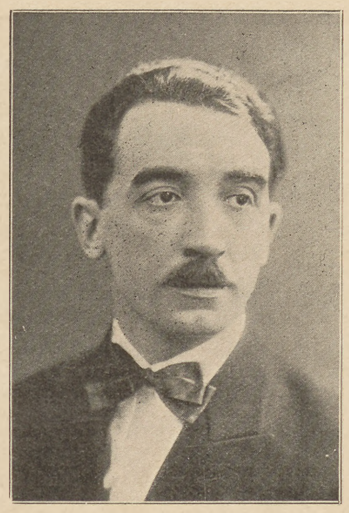

THIERRY SANDRE

starszego, bo właściwie reguły zasadniczej niema żadnej. A o wyróżnieniu „najlepszej" książki mowy być nie może, gdyż, jak powiedział Lucjan Descaves, jeden z członków jury, — z nadesłanych mu książek mógł zaledwie przeczytać trzy czwarte. Wysunął też projekt, aby na przyszłość nagroda Goncourtów została przyznawana nie jednemu, ale dwum autorom; w ten sposób możnaby nagrodzić talent młodego pisarza i odznaczyć dzieło pisarza już znanego.

Ostatni tydzień przed zebraniem się jury odznacza się zawsze pewnem zdenerwowaniem w kołach literackich. Każda grupa, każdy wydawca, każdy niemal dziennik ma swojego kandydata. Niektóre z pism podawały w tym roku prognostyki literackie, tak jak podaje się prognostyki dla faworytów wyścigowych. Jak wiadomo zresztą—zawodzą one prawie zawsze. Podobnie rzecz się miała i z faworytami literackimi. Niemniej jednak przez wysuwanie pewnych nazwisk ściąga się na nie uwagę publiczności. Tak więc w r. 1924 najpoważniejszymi zdawałoby się kandydatami byli Filip Soupault, autor „Les frères Durandeau", Ferdynand Fleuret („Les derniers plaisirs"), August Bailly („Naples au baiser de feu"), Henryk de Montherlant („Les onze devant la porte dorée") i kilku innych. Ale oczywiście żaden z nich nie został laureatem. Po siedmiu dopiero głosowaniach jury dziesięciu ogłosiło laureata w osobie Thierry'ego Sandre, nagradzając trzy jego utwory, a mianowicie „Purgatoire", wspomnienia z czasów niewoli w Niemczech, — „Chèvrefeuille", powieść powojenną, — i wreszcie tłumaczenie wyjątków jednego z bardzo mało znanych autorów greckich, które laureat wydał p. t. „Chapitre XIII".

Thierry Sandre jest w całem tego słowa znaczeniu literatem i humanistą. Złożyły się na to naturalnie i jego wrodzone zdolności, ale także specjalne warunki życia. Autor „Chèvrefeuille" urodził się w Bajonnie w 1890 r., a zawód dziennikarski rozpoczął — jak to zaznaczył w wywiadzie z p. Fryderykiem Lefèvre — w siedemnastym roku życia, posyłając swe utwory do „Gil Blas" i do „Comoedia". Był potem kolejno sekretarzem znanych ogólnie pisarzy, jak Binet Valmer, Gilbert de Voisins i wreszcie Piotr Louys. Cała młodość jego przeszła zatem w otoczeniu literatów, i rzecz oczywista, obcowanie z nimi musiało wpłynąć na ukształtowanie się poglądów literackich i artystycznych młodego pisarza. Piotr Louys, wielki miłośnik Grecji, wszczepił niezawodnie w umysł swego młodego sekretarza własne zamiłowanie do starożytności.

Ów ciekawy „Chapitre XIII" jest opisem uczty, albo raczej przytoczeniem dyskusyj, jakie przy ucztach prowadzili sławni ludzie danej epoki, w których każdy wypowiadał swe zdanie na nieśmiertelny temat miłości. Nie potrzeba dodawać, że dyskusje te były ożywione, zdania zaś i opinje krańcowo różne.

Thierry Sandre, który jest generalnym sekretarzem „Société des Anciens Combattants", zamieścił swe wspomnienia wojenne i wspomnienia z czasów niewoli w „Purgatoire", książce pełnej prostoty, zawierającej szereg ciekawych szczegółów i obserwacyj.

Powieść „Chèvrefeuille" jest również oparta na wojennych, a raczej powojennych wypadkach. Rozpoczyna się ona w dn. 11 listopada, t. j. w dniu uroczystości, jaka odbywa się pod Arc de Triomphe w hołdzie nieznanemu żołnierzowi. Motto „Chèvrefeuille" — to znane wiersze:

„Mais si l'on veut les séparer,
Le coudrier meurt promptement,
Le Chèvrefeuille mêmement.
— Belle amie ainsi est de nous:
— Ni vous sans moi, ni moi sans vous".

W tych kilku słowach mieści się tragedja miłosna dwojga młodych małżonków, Maurycego i Marty, tak szczęśliwych, że wystarczając sami sobie, oddalają oni, a zwłaszcza Marta, od ich domowego szczęścia wszystkich, nawet Jerzego, najlepszego przyjaciela Maurycego. Z wybuchem wojny obaj przyjaciele opuszczają Paryż. Zrozpaczona Marta szepce mężowi bezprzytomne pożegnanie: „Si tu meurs, j'en mourrai"!

Nierozważne słowa kobiecej miłości: Maurycego zabijają pod Verdun, Jerzy powraca, ale zdaje sobie sprawę, że jego widok jest dla Marty nad wyraz przykry, to też widują się coraz rzadziej; Jerzy nie wie, że Marta powtórnie wyszła za mąż. I oto dn. 11 listopada 1923 r., w czasie ceremonji na Place de l'Etoile, zdaje się Jerzemu, że w tłumie rozpoznaje rysy twarzy Maurycego. Wizja? Nie, rzeczywistość, bo następnego wieczora Maurycy zjawia się w mieszkaniu przyjaciela. I następuje długa, bolesna spowiedź „dezertera miłości".

Maurycy nie został zatem zabity, a tylko w chwili ogólnego zamieszania po jednym z ataków pod Verdun włożył do kieszeni jednego z trupów wszystkie swe papiery, a sam uciekł. Nie dezerterował jednak z placu walki; ucieczka jego była wynikiem wewnętrznych szamotań się, albowiem Maurycy nie był szczęśliwy. Dowiadujemy się, że tyranizowany zazdrosną miłością Marty która wzrastała w miarę jak malała jego miłość, uciekł on poprostu przed własną żoną, chcąc raz na zawsze zerwać ciążące mu pęta. Potem powędrował w świat i dzisiaj bogaczem powraca z Ameryki. Powraca poco? Poto, aby po całym dramacie rozpocząć na nowo dawne życie, bo Martę kocha pomimo jej tyranji i chce być przez nią kochany. Maurycy jest zresztą pewny jej miłości i wzruszonym głosem odczytuje: „Ni vous sans moi, ni moi sans vous". Tymczasem, ponieważ wierność kobieca zawiodła, zrozpaczony Maurcy odjedzie do Ameryki, i w kilka tygodni potem przyjaciel Jerzy dowie się o jego samobójstwie.

THIERRY SANDRE U SIEBIE

W fabule tej, dość dziwacznej i „romantycznej", nie brak ciekawych momentów. Pierwsza zwłaszcza jej część jest owiana subtelną, melancholijną nutą wspomnień. Tego rodzaju jednak dramatyczne zdarzenia — dramatyczne już w swem założeniu — wymagały bezwzględnie właściwego nastroju i odpowiedniej akcji. Tymczasem cała książka jest jedną długą, przydługą, opowieścią. Autor bowiem wkłada opowiadanie całej cz. I w usta Jerzego; cz. II jest spowiedzią-opowiadaniem Maurycego. Łatwo zrozumieć, że przez tego rodzaju ujęcie powieść traci na dramatyczności, bo brak akcji. Tragedja słowna nie ma nastroju. I jest to prawdopodobnie największy zarzut, jaki możnaby zrobić autorowi „Chèvrefeuille". Pozatem, o ile sylwetka Jerzego jest bardzo ciekawie naszkicowana, o tyle trudno zrozumieć właściwą psychologję Maurycego, chyba że Thierry Sandre jest zdania, iż logiki brak nie tylko kobietom, ale i mężczyznom! Autor uniknął bardzo zręcznie wszelkich melodramatycznych sytuacyj, które mogły się łatwo nasuwać. Thierry Sandre posiada bowiem dużo finezji, ładny język i łatwość pisania. Jego niezaprzeczone zalety pisarskie będzie można prawdopodobnie ocenić w nowej powieści „Mousseline", która jest historją ciekawego zakątka Paryża — dzielnicy Batignolles.

ib.

Książ dz-poeta

Ludwik Le Cardonnel

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich"

Paryż, w grudniu 1924.

Nagrodę literacką Lasserre'a przyznano w r. b. Ludwikowi Le Cardonnel. Ostatnimi laureatami tej nagrody „tradycjonalistów" byli: w r. 1922 — Elemir Bourges, w r. 1923 — Wiktor Giraud.

Louis Le Cardonnel jest poetą szczerym, prostym i przedziwnie cichym, jest nicią wiążącą godzinę wielkiego symbolizmu z młodzieńczym klasycyzmem rodańskim.

LUDWIK LE CARDONNEL

Choć rodzice jego pochodzili z północy, jest on dzieckiem Walencji (ur. 1862). Jasna i biała miękko zbiega nad wody Rodanu z ostatnim rytmem alpejskich falowań łacińska Rhomé-Valentia, mistyczna siostra Romy, naprzeciw celtyckich skał seweńskich roztacza ostatnie gruzy cezaryjskiej kolonji, miasto will patrycjuszowskich i posągów, przez legendę Piłata i Heroda już w mistycyzm chrześcijański wchodząca, pochodnia wiedzy i wiary rozkwitającej w przedziwny kwiat napoły saraceński „śpiewających łuków" St. Apollinaire, miasto biskupów, ośmiu synodów, gorączki Waldensów — burzycieli świątyń, otoczone wieńcem ruin czternastu opactw, dziś miasto poetów rozmiłowanych w łacińskiej doskonałości, „w nucie antycznej a nowej" rodańskiego nurtu. W tej dolinie Rodanu wszystko jest muzyką: winnice złote, topól rozbiegi, platanów sklepienia, akord Południa i Północy, a na stokach, na jaskółczych gniazdach wiosek i grodów zawiesza się słodycz umbryjskich zboczy.

Całą Walencję łacińską i mistyczną zamknął w istocie swej Le Cardonnel. Kiedy odwołał go w pierwszej młodości Paryż, młody przyjaciel Mallarmégo, Verlaine'a, Moréasa, wierny bywalec słynnej „Closerie de Lilas", z której tak bogate a tak rozbieżne strumienie ożywczych ruchów popłynęły w poezję, rzucił się w wir wojującego symbolizmu. Z Samainem był założycielem „Groupe Symboliste". Z symbolizmem łączyła go teorja o muzyczności poezji, o obrazie-symbolu, bezpośredniość odczucia i wojujący idealizm wewnętrzny, który od mistycznych poezyj Verlaine'a zawiódł go do Sâr Peladana, grającego w odrodzeniu idealizmu około lat 1900 — 1906 tak potężną rolę i uważającego za pierwsze przykazanie poety „wyrobienie uczuciowości przez ciągły wysiłek medytacyjny". Le Cardonnel kierunek ten wcielił w życie i w poezję przez etapy seminarjum duchownego w Rzymie, parafji rodańskiej, benedyktyńskiej ciszy Ligugé,— gdzie spotkał Huysmansa i napisał „Pochwałę św. Benedykta", — przez samotnie Asyżu rozjaśnione poznaniem swej misji i egzaltację Rzymu, idąc ku najczystszemu mistycyzmowi katolickiemu.

Lecz jeśli mistyczna ewolucja poety znalazła swe źródło w symbolizmie, łacińska Walencja dała mu poznanie piękna rzymskiej dyscypliny.

Wraz z Janem Markiem Bernardem, Raulem Monier, Gabrjelem Faure, którzy pod kasztanami Pola Marsowego marzyli o egzaltacji piękna rodańskiej ziemi, o ruchu neoklasycznym śladem Moréasa, i podobnie jak Rivoire, Poizat, Martineau, de Noisay, Gasquet, zapisali się pod sztandar regjonalizmu w literaturze, wielkiego federalistycznego ruchu („Revue Fédéraliste"), który chce mieć Francję jedną, ale wielotwarzową, bogatą całym przepychem wielokrotnej piękności.

Wojna przetrzebiła ich szeregi. Z dzieci Walencji J. M. Bernard i krytyk R. Monier padli na polu bitwy, Le Cardonnel, który ich na bój błogosławił, zamknął się w Rzymie.

Ostatniem jego słowem, po „Poèmes" (1904), „Carmina sacra" (1912), „De l'une à l'autre aurore", jest „Du Rhône à l'Arno", zamykający w tytule całą treść życia poety, rozmiłowanego w tradycji franciszkańskiej pieśni.

Anna Ludwika Czerny.

Assisium

W dzień, który się kończy jak wszystkie dni pogodne,
Gdy ciężkie woły z czołem rogatem, dorodne,
Wracają, i spokojny z niemi pasterz kroczy,
Poeta sam ku miastu z jasnych wraca zboczy.
Lecz nim krok pierwszych domów dosięgnie szeregów,
Wzrok leci do dalekich widnokręgów brzegów.
Pozwala błądzić myśli pogodnej, powolnej,
Od wzgórza bez końca, w doły, ku sielance polnej.
Pod złotem światłem gwiazdy, która schodzi co dnia,
Duch się rozszerza, wita uśmiechem przechodnia:
Patrzy jak wzdłuż wężowej ścieżki, przez wzgórz boki,
Ciche oliwki wchodzą ze stoku na stoki.
Zapomniał wszystkie dawno przecierpiane bole,
Duszę ma tak promienną, jak światów okole.
By nad inne stworzenia podniesion był górą,
Przemawiasz doń twem słowem wymownem, naturo!
Wobec tej ognia kuli, co znika w oddale,
Marzy o słońcu, które nie zachodzi wcale,
I cicho, zanim światłość ostatnia nie zginie,
Błogosławi przestrzeni, wiośnie i godzinie.

Przekład **Anny Ludwiki Czerny.**

Próżność i wyobraźnia

Monografja o pani Kalergis

Dzieje słynnej lwicy salonowej

Biografów Norwida zainteresuje pewno monografja, napisana przez p. Chodiadès, — autora studjum (nagrodzonego przez Akademję Francuską) o Meredithie, poświęcona sławnej pani Kalergis. Nie tylko biografów Norwida, ale i historyków, gdyż książka ta mieści rozdział: „Madame Kalergis et la Pologne", zawierający szczegóły o stosunku jej do spraw polskich, w szczególności o roli jej w 1863 r. Najwięcej może jednak historyków obyczajowości z epoki romantyzmu. Autor zdaje się znać język polski (świadczy o tem jedna cytata z „Gazety Warszawskiej", choć naogół opiera się tylko na źródłach w innym języku) i nie przekręca nazwisk polskich. Tem dziwniejsze to, że niema w tej książce choćby wzmianki o Norwidzie, a Marja Trembicka nie jest wymieniona nawet z nazwiska. Co się tyczy Norwida — to ten brak wzmianki o nim może doskonale odpowiada roli, jaką poeta odegrał w życiu uczuciowem tej wyjątkowo próżnej a dość pospolicie chłodnej lwicy salonowej. W sposobie napisania książki czuć ostrożność i sumienność. Ale też — zważywszy, że rozważna pani Kalergis umiała zacierać doskonale ślady rzeczywistych przeżyć intymnych, — postać ta nie rysuje się plastycznie. Poczęści wynika to i z braku temperamentu pani Kalergis, która, według kategoryj pseudopsychologji dawnych historyków naszej literatury, miała „więcej wyobraźni niż serca". Próżność — to bodaj „naczelna" cecha jej charakteru. Próżność zmusza tę niezbyt głęboko traktującą wszelkie sprawy osobę do pracowitości w dziedzinie techniki fortepianowej. Może dzięki tej próżności przedewszystkiem, nie tyle dzięki temperamentowi, stara się zdobyć serca wszystkich wybitniejszych mężczyzn swej epoki. Na „brak charakteru" — że jeszcze raz dla zabawy posłużę się tą przestarzałą nomenklaturą — wskazuje i eklektyzm w gustach artystycznych. Nie tylko artystycznych: pani Kalergis stawia sobie za zadanie stać ponad kierunkami politycznemi i godzić sprzeczności, które się wykluczają. I „czyny" patrjotyczne pani Kalergis noszą piętno raczej chwilowych szlachetnych kaprysów. W gruncie rzeczy była kosmopolitką. W dojrzalszym wieku wygłaszała teorje kosmopolityczne otwarciej. To, co może fascynować w romantykach lub wielkich lwicach — bujność uczuć, żądza pełni życia, wielkie pragnienia i walki — były tej chłodnej Niemce dostępne jedynie poprzez literaturę. Nie budzi też ona ani współczucia, ani zainteresowania, budzi natomiast podejrzenie, że niesmaczne sarkazmy Heinego bliższe są prawdy, niż apoteoza Teofila Gautier.

sk.

Freudyzm w sztuce

Nowa powieść Wassermanna

Stracone lata Fabera

Jacob Wassermann. Der Wendekreis. Vierte Folge. Faber oder die verlorenem Jahre. Roman. Berlin, S. Fischer, 1924; str. 8nl. i 265 i 7nl.

Powieść w twórczości Wassermanna była zawsze środkiem wyjaśniania sobie pewnych zjawisk przez ich zobjektywizowanie. „Faber, czyli stracone lata" przynosi próbę zanalizowania fenomenu niezmiernie ważnego dla czasów powojennych; objektywizacja twórcza podkreśla tu przedział pomiędzy żołnierzami wielkiej wojny a tymi, którzy w domu kształtowali nowe wartości. Sześć lat wędrówek po okopach, barakach, stepach sybirskich i chińskich miastach portowych,

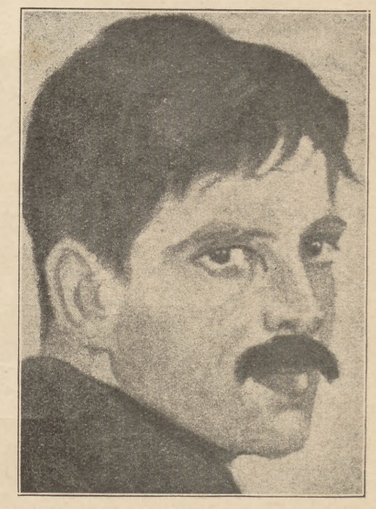

JAKÓB WASSERMANN
portret Agnes Ullmann - Speyer (1905)

owe „stracone lata" nie pozwoliły dostrzec Eugenjuszowi Faberowi, że tymczasem w jego rodzinnem miasteczku dokonało się zupełne przegrupowanie pojęć. Całkowita ruina przedwojennego indywidualizmu pociągnęła za sobą tych wszystkich, którzy zdając sobie sprawę z nicości dotychczasowej ideologji, szukają zapełnienia pustki wewnętrznej na drodze najmniejszego oporu. Czy zdołano jednak wypracować jakieś wartości pozytywne? Na to pytanie Wassermann nie daje wyraźnej odpowiedzi. „Miasto dzieci", dzieło anonimowej gminy religijnej, nie wystarcza jako odpowiednik części ideowej. Niemniej jednak stanowisko autora jest bezwzględnie optymistyczne. Zgodnie z zakończeniem wiersza, którym autor poprzedził powieść, czuje się, iż „promieniste życie" wyniknie jeszcze z zamętu dni powojennych.

Rezultat niezrozumiałych procesów dziejowych jest w gruncie rzeczy dla Wassermana sprawą drugorzędną; na plan pierwszy wysuwają się tu nieuświadomione związki życia wewnętrznego, ukryte momenty, które w psychice poszczególnych ludzi są przygotowaniem wielkich przemian społecznych. Cała akcja powieści, niezmiernie ubogiej w zdarzenia, toczy się dokoła wyjaśnienia nienazwanego konfliktu; wszelkie działania zewnętrzne zmierzają do rozwiązania dziwnego nieporozumienia pomiędzy Faberem a jego żoną. Wassermann, podobnie jak większość współczesnych powieściopisarzy, daleki jest od owej pasji narratorskiej, która autorom dawnych romansów kazała złączać w jedną całość szereg najnieprawdopodobniejszych opowiadań. Pomimo to jednak, usuwając akcję zewnętrzną na plan ostatni, potrafi on dać iluzję pełni epickiej przez umiejętne zużytkowanie niewielu efektownych motywów. Ulubione przez powieść sensacyjną wykrycie przestępstwa, tajemnicza księżna odziana w habit nieznanego zakonu, wprowadzenie formy opowiadania szkatułkowego w niezwykłej historji Fides, przyjaciółki żony Fabera, — stwarza złudzenie bogactwa motywów romansowych. W gruncie rzeczy najdonioślejsze zdarzenia tej powieści dzieją się w podświadomości; sen odgrywa w niej niemniejszą rolę, niźli jawa. Akcja rozgrywa się pomiędzy dwojgiem ludzi niezdolnych do wypowiedzenia swych przeżyć; uświadomienie i wyjaśnienie ukrytych dotychczas głęboko procesów psychicznych sprowadza osoba „mówiąca", Fides. Zastosowanie freudyzmu dla celów techniki powieściowej świadczy, jak doskonałym środkiem mogą stać się w ręku prawdziwego artysty pewne teorje naukowe. Autor unika tu jednak jakiejkolwiek bezpośredniej analizy psychologicznej. Na wzór dawnych powieściopisarzy, którzy podniecali ciekawość czytelnika przez zostawianie go w niepewności co do dalszego rozwoju akcji, nie wyjaśnia bynajmniej odrazu psychologicznej zagadki Fabera. Czytelnik pociągnięty tu jest do pracy współtwórczej, do ustawicznego odgadywania i rekonstruowania. Wassermann bierze na siebie rolę obserwatora zewnętrznego, za pomocą gestów, odruchów mimicznych, mimowoli rzucanych półsłówek próbuje zasugerować nić wewnętrznych przygód swojego bohatera. Aby spotęgować wrażenie objektywizmu, a jednocześnie dać wielostronne oświetlenie zjawiska, wprowadza postać bezstronnego świadka, przyjaciela rodziny Faberów, starego uczonego Fleminga, który ma zwyczaj sporządzania aktów osób, interesujących go nieco bliżej. Wysiłki ku odgadnięciu istoty rzeczy z wielostronnych, objektywnych oświetleń zmuszają tu do błąkania się w jakiejś atmosferze nawpół sennej. Gorączkowo czyta się te krótkie rozdziały, z których każdy jest drobnem posunięciem na drodze rozwiązania zagadki człowieka współczesnego.

Regina Reicherówna.

Książki zapomniane

„Żywe kamienie“ Berenta

Może niedość ściśle nazwa tej rubryki odpowiada utworowi Berenta. Potężne racje duchowe tego dzieła sprawiają, że fizyczną jest tu wprost niemożliwością — zapomnienie. Kto przeżył historję tych kamieni, ten stał się poniewoli o całe bogactwo wykopanego, jak ta „Venus divinae sacrae“, cięższy, i brzemię to nosi— może nawet w niewiedzy — i wtedy gdy się w tańca lekkości trosk i zamyśleń nad życiem zbywa, i wtedy gdy z głęboką na duszy zmarszczką w podziemie tego życia grąży.

Oczywiście, nie codzień ma się w pamięci zjawiska, nie z codzienności i nie dla codzienności naszej stworzone. Tajemna księga ducha zamyka na siedem pieczęci tę wiedzę jedyną o wielkiej radości i wielkim smutku, za których sprawą człowiek współzawodniczy z Bogiem, tworząc na nowo harmonję świata. Używa innych środków, lepi z myśli, przeczuć i słów ten cud już dawno przez Stwórcę w materji bytu wykuty. A przecież o arcydziele życia, w którem boska, dla oczu śmiertelnych nieodgadniona mechanika umiała piekło zrównoważyć z niebem, — nikt z nas w dnia powszedniego największym zamęcie nie myśli, choć wszystko się dla nas — właśnie w tej życia budowie mąci i dzieje.

Nie do zniesienia i wrogie sobie byłoby istnienie, pozbawione wschodów i zachodów, ranków i wieczorów, ze słońcem nieruchomo wiszącem u swego zenitu. Człowiek dawnoby zmarniał, gdyby mu żyć kazano pod palącemi blaskami arcywzoru życia — piękna.

Cóżby sie stało z dążeniem, szukaniem, przypominaniem i walką — walką — odnowicielką i rodzicielką sił? Cóżby się stało z życiem, gdyby się stało wielkie, wzniosłe, mądre, gdyby było Graala rozesłanem na gościńcach królestwem, gdyby w niem „wszystko z ducha i dla ducha stworzone było a nic dla cielesnego pożytku“ — gdyby było — piękne?

Straciłoby sens. Cudowny sens męki, rodzącej ze skończonych tworów twórczość nieskończoną.

Tak oto kragłość doskonała świata każe czasem upatrywać w najwyższym sensie — ucieleśnionem marzeniu — bezsens marzenia, wysiłku, trwania. Więc instynkt samozachowawczy człowieka i gromady organizuje nieustanną samoobronę przed grozą realizacji ideału, o który walczy na śmierć i życie, do ostatniego tchu. I to fatalne „naprzekór sobie“ jest najczęstszą formą miłosnej wobec życia uległości. Ślepe a przecież intuicją jakże jasnowidzące komplikowanie i poszerzanie życia, iżby w niem każdy czynu rozmach i każdej tęsknoty szaleństwo mogło się zmieścić i formie dać treść, życiu — życie.

Tak się oto naogół kształtuje nasz stosunek do wielkiej sztuki. Człowiek nosi w pamięci jej wymiar, dynamikę, proporcję organów, wreszcie konstrukcję, ale o samym fakcie zorganizowanego w niej życia zapomina. Mija czas, w którym się myśleć przestało o dziele, ażeby w tajemnicy przed świadomością słowa wypracować perspektywę wewnętrzną i z surowością bezinteresownego uczucia odważyć brzemię duchowe utworu.

„Żywe kamienie“ obnażają oblicze poety w największem natężeniu rysów. Książka ta — to najgłębszy manifest stosunku autora do życia, ujętego przecież nie tylko jako materjał artystyczny, ale jako wartość samowładna, niezależna i wroga, którą należy pokonać a jednocześnie w nienaruszonym ręką zdobywczą stanie przedstawić.

„Próchno“ i „Ozimina“ — to potężne zlomy wydarte kamiennemu łonu życia — w ostatniem jednak dziele mozolne zaklęcia twórcy wymodliły doskonałą pełnię życia — z kamieni. Najidealniej i najpiękniej pojęta symbolika święci tu triumf. Prawieczne złoża przemówiły.

I przeszłość mroczna, którą rozum pokratkował dla świętego spokoju w symbole, i teraźniejszość, krótkością spojrzeń naszych na użytek i nieużytek, dobrą i złą, podzielona, i przyszłość, wyzyskująca tajemniczością wieczne dziewictwo marzeń naszych,—w tej opowieści ostatniego rybałta podały sobie dłonie siostrzane, żeby się pokręcić choć „raz dokoła“ wiekuistym tańcem życia.

Przejmujące dźwięki zaczarowanego fletu Pana, śpiewającego dole i niedole nienasyconego pożądania i błądzącego w trawiącym nieukoju dokoła płonącego próchna, — zdołały wreszcie skusić nimfy i braci faunów na święte igrzyska ku czci wszechmocnego boga winnej radości — Dionizosa.

Życie się składa z dwóch światów: ten, który jest, i ten, do którego się tęskni. Puszcza i głos wołający. Środek ciężkości i wzlot niebezpiecznego zawieszenia. Bóg stworzył świat w sześć dni, a siódmego kazał świętować. Ten siódmy stał się zagadką pierwszych sześciu dni zbożnej pracy. Niedziela bytu. „Lekko“-myślne płasy ducha. Chwila świadomości, rzucająca słoneczne światło oszałamiającemu kołowrotowi codzienności w twarz, — sama bardziej jeszcze oszołomiona. Jakby kto nagle zatrzymał karuzelę w biegu i z przerażeniem stwierdził, że to maszyna się kręci i konie drewniane wirują. Stąd pierwsze lekceważenie i pierwszy mozół ducha w obliczu życia. Bóg je takie stworzył, człowiek nagle pragnie przerobić, choć nie wie jak, choć nie wie czem i kiedy. Więc idzie w świat, więc szuka i błądzi, ale wciąż idzie. Może też przyjdzie chwila i miejsce, że ziemia się skończy pod ciężkim krokiem włóczęgi... Zginęło miasto, zginęła wieś, obyczaj zmęczony pozostał na drodze od grodu osiadłych ludzi wiodącej — hen— w bezdomność wszelkiego stworzenia, któremu dachem słońce lub gwiazdy, a ziemią paląca już tylko tęsknota.

I nagle w obliczu wroga, któremu na imię świat cały, drżąc z zimna i spiekoty, szukający z zewnątrz ratunku a pozostawiony sobie jedynie — w zachwyceniu najwyższem postrzega człowiek, że choć jest ułamkiem, parjasem gromady, — nosi w zanadrzu natury, w najgłuchszej komorze ciała, gdzie dusza mieszka, — i ziemię i niebo i słońce i gwiazd miljardy i jest jak świat w obrębie ludzkiej, żywej istności zawarty. Przestaje z zimna drżeć, prostuje pokorne kolana, z przedsieni żebraczej kościoła wychodzi z bożym w piersiach ołtarzem. Niedole włóczęgi jak skarb na barki przerzuca, ciskając ludziom osiadłym zuchwale — klejnoty waganckiej doli, zabójcze kamienie ze złotego worka wolności dobyte — pod nogi wszelkiej świadomej czy ślepej ludzkiej niewoli.

Przestaje bluźnić i dzieło Boga przerabiać.

Królestwo świętego Graala w samem dążeniu się iści. I Goljard i rycerz w zbroi Parsifala i płatnerz i brat Łukasz i przeor i cały ten tłum wędrującej sztuki — oto obywatele tego śnionego królestwa, niby okręt-widmo płynącego i wieszczącego radosną nowinę po całym świecie.

U wezgłowia zmarłego Goljarda powiedział przeor do igrców i żaków:

„Wy jesteście na Monsalvacie! A chociaż niedługo mi tu, wiem, pozostaniecie, choć was nie przyoblekę w habity nowicjatu, jednak tercjarzami Zakonu Ducha czynię was błogosławieństwem mojem... Gdziekolwiek Ducha sprawę jaką podejmiecie młodego serca żarem — ku temu, aby się starły smutki z oblicza ziemi i odnowiły serca człecze, — tam graalową służbę pełnić będziecie!“

Niema bodaj w całej literaturze polskiej dzieła tak idealnie skomponowanego, jak „Żywe kamienie“. Wspaniała symbolika wewnętrzna poematu rozwiązana została architektonicznie, niby tum średniowieczny. Każdej wartości myślowej, każdemu rozmodleniu się duszy odpowiada pocisk wieży strzelającej w niebo. Organowej grze namiętności, potężnym dzwonom i najcichszym dzwonkom przeżyć — cudowna proporcja miejsca, czasu i akcji, sprawiająca, że każdy rapsod jest zamknięty całością, a każda postać po wsze czasy aktualnem, żywem przeznaczeniem. W tem przeznaczeniu, jak w wiekuistem zwierciadle czasu, mogą się przejrzeć wszystkie epoki, wszyscy tych epok mieszkańcy. A jednocześnie jest to kompozycja nawskroś muzyczna, orkiestralna. I chociaż każdy zespół instrumentów, każdy instrument i każdy najdrobniejszy ton wydobyty jest z tego huraganu brzmień ze wstrząsającą czystością i celnością dźwięku — chociaż rysunek fragmentu, postaci każdej i każdego słowa namaszczony jest jakby świętym olejem wybrannictwa z pośród miljona innych fragmentów, postaci, słów, — całość czyni wrażenie jedności, ponieważ każda część odbija i symbolizuje tę całość.

Tragiczne poczucie odpowiedzialności, cechujące klasycznego bohatera romantycznego w obliczu świata, — występuje u Berenta z tą samą siłą ascetycznego wprost obowiązku wobec tego jedynego świata, jakim dla niego jest: dzieło sztuki — albowiem piękno tylko może usprawiedliwić stosunek człowieka do wszystkich spraw ziemi.

To piękno wyświeca poeta z życia pod mistrzowskim naciskiem słowa, które śpiewa, tańczy, maluje, rzeźbi i myśli — jest niewolnikiem i władcą wszystkich muz na usługach wielkiej poezji. Fidjaszowa praca twórcy sprawiła, że słowo nasiąkło wszystką treścią dzieła, scalenie wizji z artystycznym wyrazem zatarło doszczętnie, bez żadnej reszty granice między fabułą i formą, etyką i estetyką.

I niewiadomo, gdzie więcej życia — w treści czy formie, bo treść stała się formą, a forma treścią. I niewiadomo gdzie więcej życia: w ludziach czy kamieniach...

Wielka — dziś już zanikająca — sprawiła to sztuka.

WYSPA
ZATOPIONYCH OKRĘTÓW
Reżyserja Maurice Tourneura

*

Prasa londyńska pisze o tym filmie: „Wyspie zatopionych okrętów” należy się w twórczości kinematograficznej takie miejsce, jakie zajmuje w literaturze dzieło
CONRADA
„MURZYN Z ZAŁOGI NARCYZA”

Jasna 3

Marja-Jehanne Wielopolska

Panichidy na uroczystości pogrzebowe Adolfa Nowaczyńskiego

„I teraz spada dudniąc na wieko mojej trumny coś ciężkiego. Nie bryła to ziemi, a kamień, wyraźnie kamień — i to dość nawet ciężki! Skąd się tu na cmentarzu mógł wziąć kamień? Przyniósł go kto ze sobą? Kto rzucił kamieniem?“ (Adolfa Nowaczyńskiego „Mój pogrzeb“).

Ja rzuciłam kamieniem.
Skromnie i łagodnie to oświadczam.
W dzień niewątpliwie najchwalebniejszy i najcnotliwszy Pańskiego żywota, to jest w dzień Jego odejścia w Nicość, ja rzuciłam kamieniem.

Uczyniłam to, mimo że mnie Pan posadził na konia, nie na osła, za Swoim karawanem (rozumiem przecież, że nie wypadało tam iść osłom).

Uczyniłam to, mimo że Pan raczył zużytkować moje dotychczas gruntownie nieużyteczne lichtarze (gdzież miejsce dla lichtarzy odpowiedniejsze jeśli nie przy katafalku!?). Rzuciłam kamieniem na grób, bo chyba nas Pan nie zwiódł tym razem, że to grób, że to naprawdę ostatni Jego, łabędzi śpiew... leć nasz orle w górnym pędzie... Nie wymyśla się przecież od bałwanów tym wszystkim, którzy nie umieli w porę odejść, aby samemu nie odejść w porę, prawda? więc jasne, że ze zwłoków niecierpiących zwłoki Pańskie są na pierwszym planie po podobnem dictum funebris.

Z uprzejmości dla mojej 9-ciopałkowej korony pozwolił mi Pan nieść 9-cioramienne lichtarze w pochodzie, choć wiemy, że byłyby Panu milsze o całe niebo, o całego Jehowę, te „nasze“, te siedmioramienne, oświetlające tak słodko ongiś dawny, nieodżałowany lokal redakcyjny z ulicy Boduena. Któżby pomyślał, że znajdzie się tyle uprzejmości w nieboszczyku!!!

Gdyby fakty, zawarte w Pańskiem epitaphium, nie były tak rozbrajająco zgodne z prawdą, tak dosłowne z rzeczywistością, — mimo wszystko jeszcze człekby nie wierzył własnym uszom, — ale świadomość prawdy jest zbyt silna, w tym wypadku i zbyt... pocieszająca.

Ten nieszczęsny P., który nagle przeciął nić żywota Pańskiego beztroskiego— i te kamienie żółciowe, które tak boleśnie zareagowały na amerykańskie parabellum — i to „żadnej nadziei“ — i te pisma, które wydały nadzwyczajne, rozchwytane dodatki — i ten kaduceusz od mącenia narodowej kadzi — i ta wśród ciemności i chwilowego bezwładu (po ciosie z ręki nieszczęsnego P.) odzywająca się raptem feniksowa pieśń... leć nasz orle w górnym pędzie... (mój Boże! tyle się przeżyło czasu pod znakiem muzyki, że muzykalność musiała przetrwać wszystkie katastrofy!) — i ta egzekucja nieszczęsnego zbrodniarza P., doraźnie wykonana — ach jak doraźnie i a tempo!— no i całe to epitaphium zresztą, umieszczone chrobrze w „Wiadomościach“, dziwnym trafem — na odwrotnej stronie karkołomnego, jubileuszowego życiorysu „Gazety Warszawskiej“...

Wszystko zgodne z historją, zgodne z prawdą, z rzeczywistością, z faktami. Nie może to być więc zwyczajną formułką pisarską, nowym — nareszcie nowym! — kalamburem, czy nową, fenomenalną przemianą materji. Nawet ten napomknięty siwy mundur i te brwi krzaczaste pośród „poszkodowanych“ zgodne są z prawdą... wszakże Pan był raz legjonistą w Pierwszej Brygadzie, ś. p. panie Nowaczyński, i napisał Pan hymn zachwytu na cześć brwi krzaczastych i siwego munduru — gdzież więc miał stać ów mundur na Pańskim pogrzebie, jeźli nie pośród... poszkodowanych — !? O, pośmiertna sprawiedliwości!!! A jeźli ktoś stetryczały weźmie ów ustęp o siwym mundurze za dowcip nieudały i raczej na megalo, niźli na dawną arlekino-manję zakrawający, to czemuż się dziwić? „Są w życiu chwile“, kiedy najlepszego trefnisia dowcip zawiedzie, jakżeż nie miał zawieść Pana, ś. p. panie Nowaczyński, po tylu klęskach bieżących i po takim strzale z za płota, czy z za kurnika, czy z za morza, czy z za gór, z amerykańskiego parabellum?!

Nie. W mowie pogrzebowej ani zwięzły, ani dowcipny Pan nie był, lecz szczery, że jednak człek trudno do subordynacji tamtoświatowej musi nawykać i „lubi“ umrzykiem zaglądać do cudzych okien, więc anużby się Pan rozmyślił i od progu Nicości — pardon! — Wieczności zawrócił — !?

Dlatego to cichutko, przezornie, zeszedłszy z konia siwego i odstawiwszy moje kontryfałowe lichtarze (już teraz tylko na bruch zdatne lichtarze) od samej św. Agnieszki, podeszłam do grobu Pańskiego — samotnego! och, jak samotnego! — i rzuciłam nań kamyczek.

Ciężki, nieudźwigany, niezłomny kamyczek.

Wysportowana należycie, ruszyłam z posad głaz taki, że możemy przysiąc, iż go nikt więcej z posad nie ruszy. Kamień to bezsymboliczny zatem — nie był Pan przecież nigdy, ś. p. panie Nowaczyński, ani żołnierzem, ani nieznanym, a tylko takim w Polsce kładzie się tajnie, po nocach, kamienne nagrobki... (Ach prawda! był Pan raz legjonistą w Pierwszej Brygadzie, ale tak dawno, tak krótko!)

Wróćmyż więc do kamyczka.

Przeze mnie położony, miał on być tylko gwarancją dla nas pozostałych, że Pan odszedł istotnie i bezpowrotnie, w myśl zasady, ogłoszonej onegdaj mędrcom i gapiom, że za dużo włóczy się trupów po świecie, a przecież świeżem powietrzem „muszą i mają oddychać normalni śmiertelnicy“.

Jesteśmy normalni i chcemy oddychać.

Dlatego rzuciłam ów kamień (i będę nawet niebawem pisała o kamieniu w „Wiadomościach“).

A może — bo ja wiem? Tyle wokół megalomanji! może nie ja rzuciłam ów kamień?! Może ktoś inny, tak samo normalny i chcący oddychać — takich jest 30 miljonów w Polsce podobno — a mnie się tylko w pysze mojej zdawało, że uczestniczyłam w pogrzebie równie sławnego człowieka! Bo Bogiem a prawdą dlaczego tylko jemu, sławnemu człowiekowi, miały się marzyć rzeczy nieistniejące: że mianowicie poczynił tyle krzywd, tyle snu spędził ludziom z powiek, tyle poszkodował niewinnych, tyle namącił kadzi narodowych, — podczas gdy był tylko owym zwyczajnym trupem, który raz usunięty, nie pozostawia i śladu... a rodacy są normalni i chcą oddychać świeżem powietrzem.

Wsio rawno! mój czy nie mój, niechaj Panu służy ów kamień, który nie jest ani zapłatą za chleb, ani tajnie położoną płytą na grobie przeczystego rycerza, ale zwyczajnym... bezpiecznikiem. Fermoirem. Fermeture, clôture, doorkeeper, serratore, security, certainty... (ja też mam leksykon).

Ryszard Ordyński

„W sieci“—i dlaczego?

Z powodu zbliżającej się premjery wznowienia dramatu Kisielewskiego „W sieci“ w Teatrze Polskim, po raz pierwszy połączonego w jedno widowisko z „Ostatniem spotkaniem“, — „Wiadomości Literackie“ zwróciły się do Ryszarda Ordyńskiego, reżysera Teatru Polskiego, z prośbą o wyjaśnienie, jakiemi motywami kierowano się przy tej decyzji repertuarowej.

*

Tyle sztuk się rocznie przewija przez sezon teatralny, a nigdy w pewnych kołach zapowiedź repertuarowa nie wywołała takiego zastanowienia, jak nasze „W sieci“ J. A. Kisielewskiego, które po premjerze krakowskiej przed 25 laty odbyło pochód triumfalny przez sceny polskie.

Nie mam mandatu do odpowiadania imieniem kierownictwa Teatru Polskiego, ale i artysta i literat ma w chwili obecnej takie mnóstwo argumentów na poparcie tego kroku, że z przyjemnością odpowiadam na poprostu rzucone mi: ‚dlaczego?“ Jako pracownik teatru z radosnem pośpiechem przedewszystkiem stwierdzam, że widocznie teatr doby obecnej i jego poczynania budzą w pewnem środowisku jeszcze ciągle żywe zainteresowanie, że więc niezupełnie zeszedł do roli automatycznego demonstratora, rzucającego w publiczność takie same przypadki, jakim jest dobra lub zła pogoda, deszcz czy zamieć śnieżna. Istnieją więcej lub mniej idealne przyczyny pewnych posunięć repertuarowych — ale niech teatr zawsze w jakiś sposób umie odpowiadać za swe czyny.

W pewnych umysłach wyrobiło się przekonanie, że dramat „W sieci“ był podobno „wyrazem swego czasu i pewnej określonej epoki“. Każdy utwór dramatyczny, nawet na największą skalę zakrojony, gdzieś ma swoją życiową podstawę i tkwi w pewnem środowisku jako niezbędnej do życia skorupie. Ale jeżeli się na tem tylko zaczyna, jako oparciu, które służy za tło, — a nie kończy,— każda uczciwa analiza literacka z łatwością skorupę odrzuci — i do jądra dotrze. Czepianie się tego koniecznego konwenansu pisarskiego byłoby równie śmieszne jak drobiazgowe ocenianie tła portretowego, machniętego od ręki, tam gdzie jest portret — i to „całą gębą“. Wtedy ocieramy się o walory oderwane od przypadku i chwili i czujemy podmuch wieczności. Skłaniamy głowy, zoilów wysyłamy do przedpokoju.

A „W sieci“ zdaniem mojem ma do tego pełne prawo.

Podobno dzisiaj problemat dziewczyny z mieszczańskiej rodziny, walczącej o swe prawa jako artysty i człowieka, nie ostoi się wobec uświęconej już, a tak daleko idącej wolności obecnego wychowania. Czemże jest „Szalona Julka“ szerząca zgorszenie za malowanie aktów męskich w szkole sztuk pięknych, wobec panny dzisiejszej, dla której otworem stoją wszystkie uczelnie od uniwersytetu aż do — dancingu? Podobno dzisiaj siostry Julki nie będą się gorszyły jej artystycznymi narowami, ani matka Chomińska nie będzie jej zmuszała do wyjścia zamąż za Rolewskiego. Podobno tenże Rolewski nie będzie się starał nikomu imponować „Widniem“, ani Serba nie strzeli sobie w łeb o jakąś Podlipską. Podobno Cesie nie są Cesiami, a na maskaradzie nikt nie tańczy walca ani nie śpiewa niemodnej już Rotschildowskiej „Si vous n'avez rien à me dire“.

Nieprawda, nieprawda, nieprawda!

Nic się nie zmieniło w istocie walki życiowej, w małości ludzkiej, ani w sile napięcia pewnych pragnień ludzkich, może dzisiaj nieco odmiennie wyrażonych. Zmieniła się tylko forma, czyli zmiana nastąpiła pozorna, nawet przewartościowanie pewnych żądań społecznych nastąpiło zgodnie z nowemi prądami nurtującemi w społeczeństwach. Nie zmienił się stosunek jednostki do pewnych uświęconych zasad życiowych, które na niej ciążą, nie zmalały zdolności tej jednostki do wielkich odruchów: ukochania i cierpienia.

A jeżeli nawet pewne koła naszej młodzieży ogarnęła chwilowa fala fałszywego pozytywizmu, to, nie brak w niej chyba także Ikarów i Farysów, i — szalonych Julek, a nosy rozbijają sobie tak samo, jak dwadzieścia lat temu, bo życie zawsze będzie miało swoje chropowatości i twardzizny, a ludzie zawsze będą coś kochali i naoślep za tem „czemś“ pędzili. Bo wiemy za Norwidem, że:

„Biedny, o, biedny człowiek, — on, czy wiosłem myśli
Na oceanie nieba błędne drogi kreśli,
Czy ku ziemi schylony, nad ojczystą grzędą,
Siejąc zboże, poduma o swojej rodzinie:
Wszędzie i zawsze troski wkoło niego będą!
Nigdy go boleść nie minie!

— — — — — — — — — —

Człowiek żali się, jęczy, czasami przeklina,
Czasami znów natchniony załamuje dłonie,
Przez którą można spojrzeć, — lecz oko zepchnięte
Spada i w łzach rozpaczy zanurza się, tonie,
Człowieka łamią bóle, serce kamienieje,
A niebo, tak jak dawniej — milczące, zamknięte,
Ani płacze — ani się śmieje!“

A gdyby jakiekolwiek społeczeństwo doszło do takiego zmajoryzowania w swem łonie cynicznej myśli życia, że porywy ludzkie tylko swą stroną niedołęstwa i śmieszności mogłyby do nich przemawiać, do tych serc, w których „myśl nie trwa ni godziny“, — to ktoś powinien krzyczeć i płakać, ktoś może „smutny, bo sam pełen winy“ — głos protestu.

A my, teatr, z tytułu naszej roli społecznej i z tytułu naszej tradycji to zadanie podejmiemy. Z tytułu aktorstwa, które w Polsce niewolnej miało swą uświęconą misję buntowniczą i której się dobrowolnie nie wyrzeknie. Do tego powstania zaciągnęliśmy tym razem to nasze młode i najmłodsze aktorstwo, które tem większe ma prawo do przemawiania do swych rówieśników — w dniu dzisiejszym, bez oddalenia dwudziestu pięciu lat.

„Ze wszystkiego, co czytam, lubię to tylko, co krwią pisane“ — mówi Zaratustra. I tu znajduje swe istotne uprawnienie dzieło Kisielewskiego, pisane krwią własną, uprawnienie wobec współczesnych jak i wobec tej jakiejś nieoczekiwanej potomności. Zbliżając się dzisiaj do jego utworu i obejmując przez połączenie „Ostatniego spotkania“ całość tragifarsy i całość męczarni, opuszczamy wszystko, co jest przypadkowe, odbieramy mu piętno aktualności i krakowszczyzny ówczesnej. Znamienną zresztą jest rzeczą, że w swem późniejszem skróconem wydaniu książkowem już sam autor najwidoczniej temi względami się kierował, doskonałą nam wskazując drogę do zupełnego oczyszczenia utworu teatralnego „pur sang“ od naleciałości gawędziarstwa kawiarnianego, charakteryzującego pewną epokę.

JAN AUGUST KISIELEWSKI
z rodzeństwem (stoi pierwszy na prawo): obok niego siedzi Zygmunt Kisielewski

Kocham wspomnienie tej epoki i tego szumu krakowskiego, z którego powstało „W sieci“, — a jednak bez żalu rezygnuję z tych pozornych teatralności i t. zw. efektów charakterystycznych, o ile one czy w swej karykaturze czy w tragedji nie są wewnętrznie związane z motywem buntu i bezsilności, na tle codzienności życia. I tu należy być bardzo ostrożnym, chcąc być konsekwentnym. Nęcące np. mogłoby być podkreślenie w szczegółach kostjumowych pewnej brzydoty mody ówczesnej i wydobycie stąd łatwo zrozumiałego komizmu. Moda ówczesna dzisiaj wydałaby się już wcale od naszej odmienna, ale niedość oddalona, aby nam dała wrażenie tego, co nazywamy w teatrze „kostjumem“. Zaprowadziłoby to nas do karykaturowania tych figur, które właśnie Kisielewski „krwią pisał“, do wyśmiania całej tej poezji buntu i do wykpienia tych porywów, które on kochał w swej bohaterce. Czyli nie mielibyśmy prawa kazać innym wierzyć w coś, co uważamy za oddalone i tylko w oddaleniu i karykaturze możliwe, a więc w co sami nie wierzymy.

Bo my wierzymy w całe to pasmo cierpień młodej duszy, w szczerość tych porywów — aktualną nie tylko wówczas lecz i dziś i jutro, a więc w jakimś współczesnym „nieczasie“. Wierzymy i każemy wierzyć, że szarpania młodej duszy dziewczęcej, nawet kończące się bankructwem, są szczere i godne naszego współczucia, bo i dzisiaj w młodych duszach coś się szarpie, coś buntuje i jakiś cudowny ogień się pali.

A dzisiaj czytamy—ten kapitalny utwór Kisielewskiego jest tak świeży i tak ekspresjonistyczny, jak świeży i ekspresjonistyczny jest Kaiser, może bez jego zakresu fantazji, ale z większą dozą bezpośredniego talentu. Tylko Kisielewski nie żyje, nie ma przyjaciół, nie może osobiście za swą sprawą „dreptać“ — i ma na swą obronę tylko — swoje dzieło. A dzieło to i w formie pisarskiej i fakturze scenicznej brzmi tak nowocześnie i tak żywo, jak brzmiało lat temu kilkanaście, gdy było młodego ruchu awangardą i sztandarem.

Bo Julka, mówiąca o „Szale“ Podkowińskiego, nie jest w niczem anachronizmem, gdy zrozumiemy, że tu nie chodzi o ten jeden wówczas modny obraz, ale o całą skalę zmysłowego rozpętania, które ogarnia tę biedną, bezradnie wokół siebie szukającą dziewczynę. Bo Rolewski chwalący się Wiedniem nie jakiś tam jeden Wiedeń reprezentuje, lecz cały ten zabawny aparat filisterskiego niedokształcenia i naprędce zebranych wrażeń wielkomiejskich w formie najbardziej bezdusznej. Że kiedy autor nakoniec każe się Julce i Jerzemu po dwu latach spotkać na maskaradzie, to nie o krakowskie Orfeum mu chodziło, lecz o ten kanał codzienniej pustoty, gdzie w tańcu, alkoholu, we wrzasku i oszołomieniu, wszystko się spotyka, artyści, filistrzy, szaleńcy i cynicy — bez różnicy i bez wyboru, może po raz ostatni.

Czy ulice Werony są koniecznością dla tragedji Romea, czy istotą „Zbójców“ Schillera są lasy czeskie — lub Bronowice niezbędne dla zawrotnego tańca Chochoła w „Weselu“?

A Zaratustra w te słowa zwrócił się do ludu:

„Biada! Zbliża się czas, gdy człowiek niezdolny będzie wyrzucić strzały tęsknoty ponad człowieka, gdy zwiotczeje cięciwa łuku jego. Powiadam wam, trzeba mieć chaos w sobie, by porodzić tańczącą gwiazdę. Powiadam wam, wiele wiele chaosu jest jeszcze w was!

Biada! Zbliża się czas, gdy człowiek żadnej gwiazdy porodzić nie będzie zdolen. Biada! Zbliża się czas po tysiąckroć wzgardy godnego człowieka, — człowieka, co nawet samym sobą już gardzić nie zdoła.

Patrzcie! wskazuję wam ostatniego człowieka.

„Czem jest miłość? czem jest twórczość? czem jest tęsknota? czem jest gwiazda?“ — tak pyta ostatni człowiek i mruży wzgardliwie oczy.

Ziemia się skurczyła, a po niej skacze ostatni człowiek, który wszystko zdrabnia. Rodzaj jego jest nie do wytępienia, jako pchła ziemna: ostatni człowiek żyje najdłużej“.

Straszne to przepowiednie, my się jednak radujemy, że to jeszcze nie my. Rozpaczliwe te wizje Zaratustry, gdy patrzy na tych ludzi ostatnich, z których najsubtelniejsi mówią „Dawniej cały świat był szalony“ i mrużą mądrze oczy.

Zgromadzeni ponoć od Zaratustry zażądali, aby z nich uczynił tych właśnie ostatnich ludzi, a darują mu jego nadczłowieka.

Nie rozumieli go, nie był językiem dla tych uszu. I spozierali na niego i śmiali się: a śmiejąc się, nienawidzili go jeszcze. Lód był w ich śmiechu.

Nie śmiejmy się z Szalonej Julki, bo jej ród od tych się wywodzi, którzy się szarpią i tęsknią.

Polityka i partyjność

Józef Weyssenhoff. Noc i świt. Powieść historyczna współczesna. Okładkę rysował **A. S. Procajłowicz,** Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1924; str. 480.

Dawno minęły te czasy, w których książka Weyssenhoffa była rewelacją kunsztu artystycznego, przesubtelnej ironji i zbożnego zachwycenia się naturą, — w których postać Podfilipskiego była wzorem i typem dla całego pokolenia wygodnisiów, hipokrytów i hedonistów, a „Sprawa Dołęgi", z bogatą, przemyślną galerją typów, uczyła nas patrzeć na zmurszałą, wewnętrznie zakłamaną arystokrację rodową.

W Weyssenhoffie rewolucja z 1905 r. dokonała gwałtownego przewrotu. Świetny pisarz, wytworny stylista, bystry ironista, skapitulował nagle z naczelnych nakazów objektywizmu artystycznego. Temperament polityka, wrodzone poczucie klasy i stanu pchnęły powieściopisarza na śliską drogę tendencyj i politykomanji, a „Narodziny działacza" (pierwsza książka z tego okresu) stały się zapowiedzią upadku i klęski poważnego dotąd artysty.

Odtąd każda książka Weyssenhoffa znaczy coraz niższy poziom intelektualny i pisarski. Od „Hetmanów" aż do straszliwej w swym dwugroszowym symbolizmie powieści „Cudno i ziemia Cudneńska" obserwować można, z kliniczną niemal dokładnością, szybki i beznadziejny rozkład talentu, który oddawszy się zupełnie na usługi polityki i publicystyki, w zacietrzewieniu partyjnem przestał ogarniać całość, interesować się żywymi ludźmi i ich sprawami, wysuwając na to miejsce manekiny, lalki, typy papierowe, hasła uliczne, koncepcje stojące na poziomie bigotek, dewotek, czarnej sotni, intrygi partyjnej, niemal osobistej.

Polityka jest wrogiem sztuki, a partyjnictwo jej jaskrawem zaprzeczeniem. Nie znaczy to wcale, aby powieściopisarz miał stać ponad ideami i ideałami chwili, okresu lub epoki. Przeciwnie, — każdy idealizm jest odskocznią, na której buduje się obraz widzianego życia, a tendencje ideowe stają się temi linjami dynamicznemi, koło których zgrupowane są wszystkie wizje i konstrukcje osób i konfliktów. Ale dynamika idealizmu musi mieć charakter całkowity, integralny, ogarniający przedmiotowo całokształt wzruszeń i wrażeń, doznawanych w świecie zewnętrznym. Pisarz, który chce być apostołem światopoglądu, musi w swojem dziele apostolstwo swoje uzasadnić w sposób artystyczny, płynący ze s p r a w i e d l i w e g o stosunku do wszystkich przez siebie poruszonych zagadnień psychicznych i społecznych.

Dowolny dobór argumentów, jednostronne ich oświetlenie, słowem — polityczny stosunek do ludzi i ich konfliktów, — wszystko to składa się na powstanie t. zw. utworu tendencyjnego, który w samem swem założeniu jest dziełem artystycznie martwem. Żadna z postaci nie żyje wówczas własnem życiem, wszystkie wypowiadają się według zgóry podyktowanego programu, którego twórcą jest albo autor, albo, co gorsza, określona, ściśle niemal nazwana partja polityczna.

Ostatnia powieść Weyssenhoffa „Noc i świt" jest takim utworem martwym, suflowanym przez postulaty polityki reakcyjnej. Gdyby pisarz chciał lub umiał zdobyć się bodaj na fragment objektywizmu, gdyby — malując życie Polski kresowej w okresie wojny europejskiej i rewolucji bolszewickiej — wprowadził do swej powieści ludzi o rozmaitych typach napięcia ideowego i moralnego, gdyby porozmieszczał światła i cienie bez partyjnego zaślepienia i programowego parti pris, — powieść Weyssenhoffa, będąca tylko kronikarską gmatwaniną wypadków, działań wojennych i t. d., mogłaby mieć znaczenie historycznego dokumentu.

Ale Weyssenhoff, dla którego jedynym programem jest zwalczanie „Żydów, masonów i Niemców", — widzi tylko dwa kolory. Wszystko, co znajduje się na linji działaczy narodowo-demokratycznych, Dmowskiego, Dowbora-Muśnickiego, „katolików", — jest białe, a wszystko, co jest po stronie lewicy, socjalistów i radykałów, — jest potwornie czarne. Ta symplistyczna metoda dzielenia świata polskiego na dwa obozy, zapożyczona z popularnych broszur agitacyjnych, stawia ostatnią powieść Weyssenhoffa poza nawiasem artystycznego wysiłku. „Noc i świt" jest płytką publicystyką o wyłącznych skłonnościach reakcyjnych, wstecznych i ściśle partyjnych.

Obskurantyzm Weyssenhoffa płynie ze źródła absolutnej niemocy twórczej. Na pięciuset niespełna stronach jego ostatniej książki niema ani jednej prawdziwej postaci, ani jednego żywego człowieka, któryby zdołał wyrwać się z banalnego koła frazeologji dziennikarskiej i politycznej. Wszyscy są nadęci, nierzeczywiści i fałszywie patetyczni. Prawdziwa szopka jasełkowa, w której autor nakręca swoje figurki i śpiewa za kulisami kurtyny powieściowej gorzkie żale o ludziach, orjentacjach, wojnie, rewolucji i narodzeniu Polski.

Z wyjątkiem jedynego obrazu (oblężenie domów Ginzburga w Kijowie przez rabujący tłum), wszystko jest kroniką i sprawozdaniem niemal dziennikarskiem. Książka pozbawiona jest powietrza, perspektywy i oddechu; rozmowy są teoretyczne, banalne i bez końca, a ludzie — nastrojeni na jeden ton, na jeden program, na jedną orjentację. Jak gdyby w Polsce poza Narodową Demokracją i jej sympatykami nie było innych ludzi i innych konfliktów.

Weyssenhoff nie przeciwstawia jednych ludzi drugim. Nie pokazuje ich w starciu wzajemnem, nie dobiera rozmaitych argumentów. Poznajemy tylko ludzi pewnego typu, a o drugich dowiadujemy się z krytyki, z paszkwilu, z insynuacyj...

Nic dziwnego, że w takiem oświetleniu postać Dowbora-Muśnickiego urasta do rozmiarów bohaterstwa, a legjony opadają w nicość moralną i organizacyjną, — że lewicę polską nazwano „pachołkami niemieckimi", a Korniłowa, Kaledina i Kołczaka — „szlachetnemi jednostkami", — że Haller zdobywa się na „szlachetny protest", a o czynach Piłsudskiego i jego obozu mówi się, że „w samą Polskę" strzelają. Kapitulację korpusu Dowbora nazywa się delikatnie „rozformowaniem" wojska polskiego, a Kierenskiemu nie wybacza się tego, że „nikt nigdy nie usłyszał go wołającego: niech żyje Rosja".

Takich kwiatków, sentencyj, prawd i powiedzeń jest w ostatniej książce Weyssenhoffa tak dużo, że chwilami budzi się refleksja, czy autorem jej nie jest zawiedziony w swoich nadziejach rosyjski monarchista.

Z ogromnej galerji figur, w której spotykamy obok Sworskiego (centralna postać książki) jego narzeczoną, Zofję Czadowską, dyrektora fabryki Gimbuta, właściciela dóbr Linowskiego, tajemniczą, bezmiernie naiwną postać starego przeora, rozmaitych żubrów kresowych i t. d., — tylko Celestyn Łuba i młody Bronisław Linowski posiadają p o z o r y wewnętrznego życia i niesfałszowanego stosunku do rzeczywistości. Linowski, ochotnik-legjonista, który „przekonawszy się" o nicości ideowej legjonów, zaciąga się do korpusu Muśnickiego; — Celestyn, jakiś współczesny Podbipięta, nie żołnierz ani polityk, ale człowiek reagujący na wszystko bezpośrednio i bezprogramowo.

Ci dwaj ludzie stanowią prawdziwą głębię na mieliźnie obserwacji Weyssenhoffa, a chociaż są epizodem, rzuconym przez autora na szare tło książki, każdym swoim odruchem wyrywają się z tego tła i są jedynem, nader skromnem przypomnieniem o Weyssenhoffie dawno minionego okresu.

Dzisiejsza twórczość Weyssenhoffa jest straszliwym przykładem i ostrzeżeniem dla tych pisarzów, którzy, żerując na pobojowisku polityki i dziennikarstwa, karmią się resztkami umarłych orjentacyj, przebrzmiałego hasła, wyolbrzymionej intrygi.

Emil Breiter.

„ISKRY"
TYGODNIK DLA MŁODZIEŻY
nr. 52

January Kołodziejczyk: Park Narodowy w Tatrach. — **Tadeusz Sinko:** Fatalna mumja ks. Radziwiłła Sierotki. — **Adolf Małyszko:** Pokojowa służba gazów trujących. — **Janina Antoniewiczówna:** Rośliny kwitnące w zimie. — **Aleksander Janowski:** Szkice z Ameryki. IX. Wielcy mężowie. — **Tadeusz Dybczyński:** Wpoprzek Sybiru. Losy 4 harcerzy i 3 harcerek polskich.—**Edward Kłoniecki:** Choinka. — **Antoni Urbański:** Mazowiecka twierdza nad Wisłą. — Pracowity uczony. — Nasze listy. — Rozrywki. — Gazetka.

Cena zł. 0.45

Tom XIV
Bibljoteki Dzieł Wyborowych:
WŁ. ST. REYMONT
KSIĘGA
Cena w prenumeracie
1 zł. 23 gr. (w oprawie)

ZYGMUNT POMARAŃSKI i S-KA
Księgarnia nakładowa w Zamościu
oddziały: w Krasnymstawie, Włodzimierzu
i w Warszawie, Marszałkowska 52
(tel. 161-31)
Nowość! Nowość!
Pisarze polscy kresom zachodnim
Książka zbiorowa wydana przez Tow. Obrony Kresów Zachodnich pod redakcją: *B. Gorczyńskiego, J. A. Hertza, J. Lorentowicza, Wł. St. Reymonta i S. Żeromskiego*
zawiera utwory wyżej wymienionych i L. Belmonta, Wł. Buchnera, Z. Dębickiego, K. Erenberga, J. Ejsmonda, A. Górskiego, S. Grubińskiego, Hajoty, T. Kończyca, S. Krzywoszewskiego, A. Langego, K. Makuszyńskiego, J. N Millera, Z. Różyckiego, A. Świętochowskiego, E. Zegadłowicza i w. in.
Do nabycia we wszystkich księgarniach

Wspomnienia Leona Bilińskiego

Leon Biliński, b. minister skarbu polskiego. Wspomnienia i dokumenty. Tom I. 1846—1914. Tom II. 1915—1922. Obydwa tomy wydał i do druku przygotował **L. B. Szarlitt.** Warszawa, F. Hoesick, 1924; str. 8nl. i 360 i 2nl. (I), 8nl i 490 i 2nl. (II).

Nasza literatura pamiętnikarska, zwłaszcza z epoki wojny i lat powojennych, jest wyjątkowo uboga. Uboższa niż w którymkolwiek z krajów Europy. I dlatego nie będziemy nigdy wielu wydarzeń z tych czasów znali z całą dokładnością. Wyczerpującego obrazu minionych lat dziejów politycznych nie mogą dać nam ani dzienniki, ani różne szkice historyczne, ani archiwa dyplomatyczne, jeśli nawet zostają zdekonspirowane. Dużo bowiem ważnych szczegółów, rzucających światło na bieg życia politycznego, zostaje tylko w pamięci ludzi, którzy brali udział w doniosłych decyzjach. Nie wszystko się zapisuje w protokółach i nie wszystko podaje się do wiadomości publicznej, a już napewno w osobistych jeno wspomnieniach pozostają owe zakulisowe imponderabilia, które rodzą się i działają pocichu, zaspokajając, jeśli tak można powiedzieć, nasz instynkt intrygi, podstępu, rywalizacji i zawsze silnego interesu osobistego. Personalna ta strona wydarzeń historycznych nie jest czynnikiem bez znaczenia, aczkolwiek nie należy jej, rzecz prosta, wyolbrzymiać.

Pamiętniki Leona Bilińskiego dają nam kopalnię wiadomości, i to nieraz wysoce sensacyjnych, po raz pierwszy opublikowanych. Nic dziwnego. Któż mógł bliżej, niż on, przypatrzeć się ludziom i sprawom politycznym w ciągu ostatniego półwiecza? Czterdziestoletnia blisko praca na wysokich i najwyższych stanowiskach dała mu ogromny materjał obserwacyjny. Nikt z większą dokładnością nie mógł wiedzieć, co się dzieje na górnych piętrach polityki austrjackiej, a w ciągu kilku lat również — polskiej. Ale to właśnie kładzie specjalne piętno na arcyciekawe pamiętniki Bilińskiego, że nie schodził on z tych górnych pięter: tam tylko działał i tam szukał odpowiedzi na wszystkie historyczne zagadnienia ostatnich dziesiątków lat. Nie schodził nieco niżej, gdzie przelewały się mocniejsze fale politycznego życia, decydujące nieraz o dalszym biegu wielkich spraw, bez względu na to, co się działo tam, wysoko, bez względu na racje lub błędy, popełniane w gabinetach ministerjalnych i w dyplomatycznych salonach. Cieszą go te racje, przerażają te błędy, jak gdyby mogły być czemś bezwzględnie decydującem w czasach, kiedy — zwłaszcza pod koniec wojny i po wojnie — tak wielką rolę grać zaczęła wola ludów. Zanotuje więc, naprzykład, takie a takie niedorzeczności cesarza Karola, popełnione już pod koniec wojny i wnioskuje: „Przegrał cesarz Karol na tym systemie tron i monarchję habsburską, a przedewszystkiem za swych rządów przegrał najgruntowniej sprawę polską i przyszły tron polski". Przy takich wnioskach dodajemy sobie w myśli: pod koniec wojny jużby się i mądrość Karola nie na wiele zdała, bo ważniejsze czynniki decydowały o politycznej przyszłości Europy. Biliński tak długo i tak głęboko tkwił w sferze najwyższej biurokracji, że nie mógł rozszerzyć ani skali swych zainteresowań, ani skali obserwacji, wybiegając poza tę sferę. Dlatego z taką skwapliwością notuje najdrobniejsze pogłoski, idące po salonach ministerjalnych i dworskich. Z wielką, naprzykład, dokładnością opisuje, jak to pewnego razu dowiedział się, że cesarzowa niemiecka życzy sobie porozmawiać o sprawach polskich z wybitnym przedstawicielem Polaków. Bada źródła tej wiadomości. Okazało się, że przywiózł ją z Pesztu do Wiednia hr. Morsztyn, a miał ją otrzymać od hrabiny Palffy, ta zaś słyszała o tem od jakiejś damy dworskiej, która jednak nie rozmawiała o tem osobiście z cesarzową, lecz czytała tylko jakiś list, pisany przez cesarzową do innej damy. Nikt więc do Berlina na rozmowę nie pojechał.

Oczywiście, nie tylko takie drobiazgi znajdujemy w pamiętnikach Bilińskiego. Jest ich pewien nadmiar, wynikający z pilnego przysłuchiwania się wszystkiemu, co się na owych politycznych „szczytach" działo. Wszelako mamy w tych pamiętnikach również niezmiernie cenne przyczynki historyczne, które wyjaśniają nam dużo rzeczy, dotychczas niejasnych.

Jest to dzieło uczciwie napisane. Rozpoczął je pisać w r. 1917, a więc już ku końcowi swej wielkiej politycznej karjery. Cofa się pamięcią aż do lat dzieciństwa, do piątego dziesiątka lat ubiegłego stulecia. Tom pierwszy obejmuje epokę lat 1863—1914, drugi doprowadza wspomnienia do listopada r. 1922. Biliński jest w swych wspomnieniach rzetelny przez to, że nie konstruuje swego dzieła sztucznie, w taki mianowicie sposób i z tą myślą, żeby w świetle czasów dzisiejszych nie wypadło „drażliwie". Pisze, co robił i co istotnie myślał wówczas, w danych warunkach politycznych. Nie wprowadza w błąd czytelnika, nie kokietuje go, jak ci, którzy spisując swoje „wspomnienia" już po wielkiej wojnie, prezentują się czytelnikowi jako jasnowidze, którzy wszystko znakomicie przewidzieli. Dziś każdy może takie „wspomnienia" preparować. Biliński jest za poważny i za dumny, by się uciec do jakiegokolwiek fałszu. Nie potrzeba go „chwytać" na sympatjach dla dawnej monarchji austro-węgierskiej albo na uczuciach przywiązania do cesarza Franciszka Józefa. Sam o tem pisze. Sam to niejednokrotnie podkreśla. Pisze więc już w r. 1918: „I Polacy w Galicji i cesarz Franciszek Józef dotrzymali wiernie układu z r. 1866. W ciągu pięćdziesięciu lat stosunek ten nie tylko zacieśniał się stale, lecz ponadto wyjaśniał się co do ostatecznych celów swoich. Środki do tych celów były: po stronie Polski — troska o potęgę militarną Austrji, po stronie cesarza — starania o narodowy i ekonomiczny rozwój Polaków. A celem postawionym na daleką metę była wspólność przyszłej walki ze wspólnym wrogiem śmiertelnym: z Rosją". Albo o cesarzu: „Przyszła historja Polski, uwolniona od dzisiejszych naleciałości partyjnych, stwierdzi to kiedyś z pewnością, ile zasług około przyszłej wolnej Polski położył był cesarz Franciszek Józef, przygotowując, zgodnie z interesami dynastji, świetny narodowy i gospodarczy rozwój polskiego Piemontu, tak niesprawiedliwie dziś mało cenionej w związku państwa polskiego Galicji! Opatrzność zaoszczędziła mu doczekać rozbicia monarchji i wszystkiego, czemu poświęcił pracowite, szlachetne życie swoje". Nie ukrywa Biliński żadnych swoich dla przeszłości sentymentów. Oto, naprzykład, w r. 1921, kiedy uproszony został przez ministra Steczkowskiego o przyjęcie stanowiska delegata polskiego przy likwidacji banku austro-węgierskiego w Wiedniu, nie powstrzymuje się od melancholijnego westchnienia: „Któż nie zrozumie uczuć, jakie mną owładnęły, gdy się pojawiłem na sali, w której za mego gubernatorstwa zapadały najważniejsze pod mojem przewodnictwem uchwały banku, pełnego sławy w całej Europie... I mnie los wybrał na wspólnika operatorów, krających żywcem na śmierć organizm, jeszcze niedawno pełen soków najzdrowszych! Ale upadek banku był faktem nieuniknionym, a moim obowiązkiem, jako znawcy doświadczonego, stała się z polecenia rządu naszego obrona wielkich interesów Polski przy likwidacji banku dawnej monarchji". Tych kilka przykładów, a jest ich mnóstwo, w dwóch tomach rozsianych, — dowodzi, że wspomnienia oddane są szczerze.

Owe wszelako sentymenta nie są w rozważaniach Bilińskiego motywem górującym. Był to wybitny, jeden z najwybitniejszych mężów stanu dawnego typu. Motywując t. zw. orjentację austrjacką, w sposób bardzo plastyczny maluje ówczesne położenie polityczne. Przypomina, że warunkiem powstania Polski niepodległej było przedewszystkiem rozbicie Rosji, przedtem bowiem sprawa Polski niepodległej nie mogła dla Ententy istnieć. Stąd wysnuwa wniosek: „Każdy polityk polski dawnej Austrji musi i może z czystem sumieniem twierdzić wobec całego świata, że bez względu na spór dziecinny, która „orjentacja" była lepsza i praktyczniejsza, — tylko dzięki naszej polityce został stworzony pierwszy i niezbędny warunek wskrzeszenia niezawisłego państwa polskiego: rozbicie Rosji". Nadmienić należy, że „austrofilstwo" Bilińskiego nie osłabia nic krytycznej oceny polityki monarchji w ostatnich latach wojny. Przeciwnie, wykazuje jej wszystkie potworności, a nawet w jednem miejscu woła: „I ja sam, t. zw. „czarnożółty", t. zw. „stary Austrjak" — acz nigdy nie byłem czem innem, jak gorącym Polakiem, przez Austrję dążącym do odbudowania Polski,— i ja sam stwierdzam, że postępowanie Austrji, jej wysyłki pułków i wydanie Lwowa (Ukraińcom) było zdradą haniebną, było przekreśleniem 50-letniej polityki cesarza Franciszka Józefa, było straszliwem pożegnaniem z zaprzyjaźnionym przez lat 50 narodem polskim".

Na wielu kartach swoich wspomnień powraca Biliński do sprawy swej polskości, której tytułu odmawiali mu przeciwnicy, zwłaszcza ci, których znów polityka „moskalofilska" pozwala przecież na takie same conajmniej objekcje. Nie bez goryczy przytacza Biliński różne w tej mierze i bardzo wymowne dokumenty. Są one b. pożyteczne, jeśli chodzi o ustalenie jednakowej miary w ocenie moralności politycznej oraz politycznych pobudek działania w różnych kierunkach. A już nie bez humoru wspomina Biliński niektóre o nim wyobrażenia wśród rodaków, którzy go bliżej znali. Naprzykład: Ignacy Paderewski zetknął się z nim po raz pierwszy w wagonie, podczas przejazdu przez Wiedeń do Polski. Po rozmowie z Bilińskim — rzekł do b. chargé d'affaires w Wiedniu, p. Szaroty: „Bardzo rozsądny człowiek ten Biliński, no i zupełnie dobrze mówi po polsku". Tu Biliński dodaje: „Potrzeba było dopiero wyjaśnienia ze strony p. Szaroty o mojej 50-letniej pracy dla Polski, ażeby wychowanego poza Polską artystę-polityka odwieść od baśni, narzuconych mu przez moich „przyjaciół endeckich!"

Aczkolwiek tom pierwszy zawiera dużo pouczających i ciekawych szczegółów z czasów b . monarchji austro-węgierskiej, to jednak, z natury rzeczy, badziej nas zajmują wspomnienia tomu drugiego, już z pierwszych lat Polski niezawisłej. Bez względu na taką lub inną, sprawiedliwą lub niesprawiedliwą ocenę całej pracy politycznej Leona Bilińskiego jako męża stanu austrjackiego, trzeba przecież uznać, że uwagi krytyczne człowieka tak doświadczonego o ludziach i sprawach już naszych, powojennych czasów, mają wielką wagę. W pierwszych zaraz dniach swego przybycia do Warszawy natknął się Biliński na przerażający go brak wszelkich ustalonych form i norm życia politycznego. Skądżeby się tak odrazu wzięły? Przybywa wezwany przez naczelnika państwa. Nazajutrz w restauracji hotelowej zbliża się do Bilińskiego p. marszałek Trąmpczyński z zaproszeniem na urządzone właśnie na ten dzień przyjęcie dla posłów sejmowych. „Nie będąc posłem, — pisze Biliński, — podziękowałem mu z uwagą, że jako kandydat na ministra muszę przedewszystkiem być nazajutrz u naczelnika państwa. Tak mnie uczono w monarchji, ale podobno popełniłem błąd taktyczny, bo u nas w Polsce uchodzi za pierwszą figurę nie, jak na całym świecie, naczelnik państwa, lecz wybraniec „sejmu suwerennego" — marszałek. Tego nie wiedziałem. Do tego przybywa, że Piłsudski jest radykalny lewicowiec, Trąmpczyński—zajadły endek, że pierwszy ma wielki talent nie tylko wojenny, ale i polityczny, drugi zaś jest niedołęgą politycznym z zajadłością endecką przeciw wszystkiemu, co nie jest „wszechpolskie". Zapewne więc z góry zraziłem sobie pana marszałka, który mi za to zapłacił przy i po mojej dymisji".

Ale co tam formy! W pamiętnikach Bilińskiego znajdujemy miażdżącą charakterystykę działalności niektórych naszych wielkości politycznych. Surowy sąd swój opiera Biliński na dokumentach i faktach, które obficie przytacza, a które zaiste budzą zdumienie i uczucie zgrozy, że były możliwe i że były tak umiejętnie przed obałamuconą opinją zatajone. Ci właśnie ludzie, których czyny stawia pod pręgierz opinji, oczekując bezstronnego sądu historji, ci właśnie sprawili, że nie powiodło mu się w służbie dla Polski niepodległej, że nie mógł służyć jej swem zaiste ogromnem doświadczeniem politycznem, a nadewszystko wyjątkową wiedzą fachową w rzeczach skarbowo - finansowych. Nic dziwnego, że z bólem notuje: „Warszawa zabrała mi 35-letnią reputację polityczną". I nic też dziwnego, że i z bólem i z ironją pisze: „Po mojej dymisji publiczność warszawska, w sklepach, cukierniach i tramwajach, tak samo zaczęła potępiać głośno moje zabójcze plany około marki polskiej, jak przed czterema miesiącami opiewała we mnie zbawcę i cudotwórcę".

Nie te jednak osobiste przejścia, nie szczegóły drugorzędne (acz bardzo charakterystyczne), lecz cenne uwagi o najdonioślejszych sprawach polskich z epoki b. monarchji austrjacko-węgierskiej, a potem z pierwszych lat niepodległości, stanowią nieprzemijającą wartość tego dzieła. Nie jest to obraz wyczerpujący, lecz jako przyczynek historyczny — pierwszorzędny.

OSTATNIE NOWOŚCI
„BIBLJOTEKI POLSKIEJ"
JÓZEF WEYSSENHOFF
NOC I ŚWIT
POWIEŚĆ HISTORYCZNA WSPÓŁCZESNA
CENA 9 ZŁOTYCH
ALMANACH BIBLJOTEKI POLSKIEJ
NA ROK 1925
ZAWIERA UTWORY KĄSPROWICZA, MAKUSZYŃSKIEGO, PRZYBYSZEWSKIEGO, REYMONTA, STAFFA, TETMAJERA, TUWIMA, WEYSSENHOFFA, ŻEROMSKIEGO I INNYCH
Z ILUSTRACJAMI CENA 2 ZŁOTE
DO NABYCIA W KSIĘGARNI
„BIBLJOTEKI POLSKIEJ"
WARSZAWA, N.-ŚWIAT 23/25, TEL. 271-18
I WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

Ostatnie książki muzyczne

Adolf Chybiński. Instrumenty muzyczne ludu polskiego na Podhalu. Kraków, Polska Akademja Umiejętności, 1924; str. 2nl. i 141 i 3nl. i 6 tablic. — **Henryk Opieński.** Stanisław Moniuszko. Życie i dzieła. Poznań, Wydawnictwo Polskie, 1924; str. XIII i 3nl. i 2nl. i 2nl. erraty. — Nauka i Sztuka. Tom X. Chopin. Napisał **Henryk Opieński.** Z 58 ilustracjami. Wydanie drugie. Lwów, Książnica - Atlas, 1925; str. 4nl. i 160 i 4nl. — Dr. **Józef Reiss.** Skrzypce. Ich budowa, technika i literatura Z 11 ilustracjami. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1924); str. 8nl. i 217 i 7nl. — Dr. **Józef Reiss.** Encyklopedja muzyki. Warszawa, M. Arct, 1924; str. 8nl. i 325 i 3nl. — Dr. **Zdenek Nejedly.** Fryderyk Smetana. Przełożył **Wł. M.** Warszawa, F. Hoesick, 1924; str. 57 i 7nl. i 10 tablic.

O ile ubolewać należy nad brakiem nowych dzieł z dziedziny krytyki literackiej w Polsce, o tyle, trzeba przyznać, daje się zauważyć wzmożony ruch muzyczny, uwieńczony powstaniem poważnego miesięcznika „Muzyka". Wśród szeregu ostatnich publikacyj książkowych, dotyczących muzyki, na pierwszym planie należy postawić pracę dr. Adolfa C h y b i ń s k i e g o, poświęconą instrumentom muzycznym ludu polskiego na Podhalu.

Książka ta, która wąski na pozór zakres badań sobie zakreśla, wzbudza prawdziwy podziw swą niezwykłą sumiennością i gruntownem wyczerpaniem materjału. Prof. Chybiński w badaniach swych nie ogranicza się ściśle do swej specjalności, lecz prowadzi obszerne studja, na podstawie gruntownego obznajmienia się z kwestjami etnografji i historji i olbrzymiego oczytania, które pozwoliło autorowi z krótkich wzmianek, rozsianych na przeciągu kilku wieków literatury polskiej, zrekonstruować historję instrumentu muzycznego na Podhalu, z poważnem uwzględnieniem dziejów muzyki polskiej wogóle. Praca to pierwszorzędnej wartości i nie posiada poprzedniczek nie tylko w polskiej literaturze muzykologicznej, ale ledwie z kilkoma dziełami zachodnio-europejskich badaczy da się porównać. Prof. Chybiński, łącząc niemiecką sumienność z francuskim polotem, stworzył dzieło niepospolite.

Prace prof. Henryka O p i e ń s k i e g o — żywot Moniuszki i drugie wydanie (uzupełnione) monografji o Chopinie — też są dla nas zapełnieniem poważnej luki. Zwłaszcza praca o Moniuszce, będąca doskonałym odpowiednikiem wydanej niedawno książki Jachimeckiego, ogromne posiada znaczenie dla historji muzyki polskiej. Opieński zużytkowuje nieznaną dotychczas korespondencję Moniuszki z żoną, Józefem Sikorskim, Augustem Iwańskim i t. d. i na podstawie tych listów oraz innych materjałów rysuje nam w całej pełni sylwetę znakomicie charakterystyczną człowieka niezmiernie utalentowanego i z kościami poczciwego, gubiącego swój talent z uśmiechem dobrotliwym—na dogadzanie ciemnej i kapryśnej publiczności polskiej. Sylweta ta otrzymała szeroko podmalowane tło społeczne i obyczajowe, i może właśnie największa zasługa monografji Opieńskiego polega na świetnem scharakteryzowaniu epoki ubogiej i mroźnej, nawskroś niężyczliwej dla artystów, którzy musieli się marnować, jak Wolski, jak Sikorski, o ile nie zdołali umknąć śladem Chopina zagranicę i tam, choć w tęsknocie do kraju, jednak w kontakcie ze źródłami kultury artystycznej, móc się rozwijać dla dobra sztuki narodowej. Wśród postaci otaczających Moniuszkę na uwagę baczną zasługuje, dziś dopiero, dzięki monografji Opieńskiego, zyskująca właściwe oświetlenie, ciekawa figura Sikorskiego.

Drugie wydanie monografji chopinowskiej — nie powiem, żeby wygrało na pewnych dopełnieniach. W każdym razie pozostaje i nadal najlepszą polską książką o Chopinie.

Żmudną pracę sporządzania podręczników i podstawowych prac z dziedziny wiedzy muzycznej wziął na siebie prof. Józef R e i s s. Z mistrzowską pracowitością wydaje jedną książkę po drugiej. Prace te — to pożyteczne kompilacje, konieczne dla uczniów i samouków, bardzo przydatne dla nauczycieli, interesujące dla zwyczajnych czytelników. Monografja o skrzypcach zawiera, obok ciekawego materjału historycznego, specjalne uwzględnienie historji muzyki polskiej. Zwłaszcza rozdział, poświęcony Lipińskiemu i polemice jego z Paganinim, oraz walce, jaką o dwóch znakomitych skrzypków stoczyły pisma warszawskie, jest bardzo zajmujący.

„Encyklopedja muzyki" — to na kilkuset stronicach streszczony całokształt wiedzy muzycznej, oczywiście w formie szkicowej, czasem nawet aż nadto prymitywnej (określenie formy ronda np.). Znajdziemy tu niejedno curiosum stylistyczne czy też nawet błąd, ale niepodobna pracy tej odmówić pożyteczności.

Setna rocznica urodzin Bedrzycha Smetany przyniosła nam jedynie przekład czeskiej broszury Zdenka N e j e d l y, bardzo dobrej i sumiennej, ale obcej. Nie tylko nie zdobyliśmy się na samodzielne uczczenie wielkiego pobratymca, w postaci monografji czy broszury zajmującej się jego twórczością, — ale nawet nie poświęcono Smetanie ani jednego koncertu, nie mówiąc już o wystawieniu lub wznowieniu którejś z jego oper. Ta obojętność względem Smetany tem bardziej nas uderza po wielkich manifestacjach, jakiemi uczcił naród czeski pamięć Henryka Sienkiewicza.

Ostatnie dzieło Smetany „Karnawał praski" grano nawet na ostatnim festiwalu muzyki współczesnej", ma więc ono ów pozór „nowości", który tak nęci obecnie publiczność warszawską. Możeby tedy dyrekcja Filharmonji spróbowała przypomnieć Smetanę polskim słuchaczom, choćby z tego względu. **ji.**

Notatki

„Inversions".

Ukazał się nr. 1 pisma, którego powstanie sygnalizowaliśmy już na tem miejscu. Pismo to poświęcone jest, jak samo we wstępie zaznacza, obronie homoseksualizmu; ma propagować ideę, że homoseksualiści są istotami zdrowemi i normalnemi, że moralność, stworzona przez heteroseksualistów, nie obowiązuje ich w najmniejszym stopniu, że mają prawo żyć swojem życiem, że w imię tej moralności heteroseksualistów nie powinni zwalczać swych pożądań ani tłumić swych namiętności. To też „Inversions" pragną spełniać rolę „potężnego łącznika pomiędzy parjasami, którzy popełnili tę tylko zbrodnię, że nie kochają i nie cierpią tą miłością i tem cierpieniem, co większość ich współczesnych". Nr. 1 nowego pisma liczy 16 stron i przynosi m. in. wyjątki z dzieł Goethego, Woltera, Wilde'a, Teokryta, Szekspira, Swinburne'a. Abonamentów istnieje dwa rodzaje: z przesyłką pod szeroką opaską i z przesyłką w zapieczętowanej kopercie — droższy! — Począwszy od nr. 3 tytuł pisma będzie „Urania".

*

— Czasopismo „Die Literatur" prosi polskich autorów, którzy życzą sobie widzieć książki swoje omówionemi w dziale polskim tego miesięcznika, o bezpośrednie przesyłanie ich na ręce referenta literatury polskiej w „Literatur", Hermana Sternbacha w Samborze (gimnazjum im. Mickiewicza).

— Autorem pierwszej biografji Conrada jest jego długoletni przyjaciel i współautor „Romance", „The Inheritors" i „The Nature of a Crime", Ford Madox Ford. Ford podkreśla niechęć Conrada do wszelkiej rewolucji jako przerwy w rozwoju intelektualnym. Obaj pisarze uważali powieść za główny czynnik myśli współczesnej. Ford wspomina, iż Conrad miał często narzekać na ubóstwo ekspresji języka angielskiego. Książkę swoją napisał Ford zgodnie z poglądem, że biografja powinna być artystycznie zbudowaną powieścią, jaki wyrobił sobie pod wpływem rozmów z Conradem.

— Ukazały się dwa dramaty Conrada: „Laughing Anne" i „One Day More", „Laughing Anne" robi wedle „Timesa" wrażenie dziecinnego naśladownictwa Conrada, „One day More" jest wyjątkowo udanym momentem w twórczości dramatycznej wielkiego powieściopisarza.

— Jeden z literatów francuskich, Edmund Keyser, rozpoczął kampanję w obronie „Murzynów" literatury, t. j. anonimowych dostarczycieli pomysłów do utworów i samych utworów autorom renomowanym, którzy w ten sposób spekulują na cudzej pracy i talencie.

— Portugalja obchodziła ostatnio uroczyście czterechsetną rocznicę urodzin Camoensa, twórcy „Luizjad".

— W dodatku literackim „Timesa" P. Alexander dowodzi, iż tekst in quarto „Henryka IV" Szekspira, uważany dotychczas za dzieło Greena i Marlowe'a, czy Peele'a, którego przeróbką szekspirowską miał być tekst in folio, — jest niedokładnym odpisem, dokonanym z pamięci prawdopodobnie przez aktorów, z autentycznego tekstu in folio.

— Lady Byron doczekała się rehabilitacji w książce Johna C. Fox p. t. „The Mystery of Byron". John Fox w rewizji oskarżeń rzucanych na lady Byron opiera się na artykułach swojego ojca, ogłaszanych między r. 1869 a 1871 w czasopiśmie „Temple Bar".

— „Biografję krytyczną" Stevensona, opartą na zupełnie nowych materjałach, napisał J. A. Steuart.

— W r. 1905 ukazał się ułamek spowiedzi życiowej Wilde'a p. t. „De profundis". Obecnie, p. t. „Epistola", pojawiła się całość w opracowaniu dr. Maksa Meyerfelsa, w nakładzie S. Fischera w Berlinie.

— W przenikniętej schopenhauerowskim pesymizmem autobiografji Marka Twaina, która ukazała się niedawno z przedmową A. B. Paine'a, wielki humorysta przyznaje się do powolnej i dbałej o najdrobniejsze efekty pracy twórczej.

— W nakładzie wydawcy Ronalda Davis ukazał się nieznany utwór Rimbauda „Un coeur sous une soutane", antyklerykalny w swojej tendencji.

— W najbliższych dniach ma ukazać się t. 1 wielkiej bibljografji dzieł Anatola France. Będzie ona zawierała nie tylko najdokładniejszy spis wszystkich prac pisarza, więc powieści i artykułów, przekładów i komentarzy, listów i rękopisów, ilustracyj i portretów, lecz nadto szczegółowe informacje o różnicach pomiędzy poszczególnemi wydaniami, o cenach osiągniętych na licytacjach, o korektach i egzemplarzach z dedykacjami.

— Anatol France nie pozostawił prawie żadnych „inédits". Poza rozpoczętą powieścią „Sous la rose", o której już wspominaliśmy, istnieje niedrukowany nigdzie szkic o odrodzeniu i Rabelais (temat odczytu wygłoszonego przed kilkunastu laty w Buenos-Ayres). Pp. Calmann-Lévy, wydawcy France'a, twierdzą, że jest to najdoskonalsza i najdojrzalsza praca pisarza.

— Dawny sekretarz Anatola France, J. J. Brousson, ogłosił zbiór anegdot o wielkim pisarzu p. t. „Anatole France en pantoufles", dosyć w rezultacie nieprzyjemnie malujący pewne strony życia mistrza. Paweł Gsell w „Le Cri de Paris" protestuje przeciw prawdziwości książki Broussona, która czyni — według Gsella — z France'a szarlatana, pajaca i fałszywego proroka.

— Rada miejska Paryża uchwaliła, że jedna z ulic Paryża otrzyma nazwę ulicy Anatola France.

— W Moskwie grają obecnie skecz p. t. „Kwadryl aniołów", przerobiony z powieści France'a „Bunt aniołów".

— Edmund Wilson w czasopiśmie „The Dial" podkreśla braki nowego studjum S. Gormana o Joyce'ie. Wilson utrzymuje, iż krytyka angielska ciągle jeszcze nie potrafi ująć właściwie twórczości Joyce'a, który w bohaterze „Ulyssesa" daje wielostronnie oświetlony, typowy obraz ludzkości, złączony z parodją wszelkich możliwych punktów widzenia.

— Stefan Zweig napisał obszerne studjum o Hölderlinie, które będzie złączone z pracami o Kleiście i Nietschem w jedną książkę p. t. „Der Kampf mit dem Dämon".

— Ukazał się przekład angielski ostatniego dramatu Gorkiego p. t. „Sędzia". Dramat poprzedza przedmowa zawierająca poglądy Gorkiego na teatr i twórczość dramatyczną; jako zbliżonego do swego ideału cytuje Gorkij irlandzkiego autora J. H. Synge'a.

— Pisarze niemieccy uczcili pięćdziesięciolecie urodzin Hofmannsthala zbiorową książką p. t. „Eranos".

— Unamuno pozbawiony został na mocy dekretu królewskiego katedry profesorskiej w Salamance.

— Znany autor włoski Marjusz Puccini napisał książkę o Unamunie.

— Uczony lekarz i psychjatra francuski, P. L. Couchoud, napisał książkę p. t. „Mystère de Jésus", w której przeprowadza tezę, że Chrystus był tylko „postacią duchową" i że w świecie rzeczywistym nie istniał.

— Ukazała się praca Hermana Ullricha p. t. „Defoes Robinson Crusoe. Die Geschichte eines Weltbuches". Na treść jej składają się, oprócz dokładnego omówienia twórczości Defoego i jego książki, także dzieje motywu Robinsona w literaturze wszechświatowej oraz analiza wpływu, jaki wywarł „Robinson Crusoe" na innych pisarzy.

— „Les Heures Antiques" — tak się nazywa nowe wydawnictwo, podjęte przez firmę Grasset w Paryżu: będzie ono zawierało szereg monografij o wielkich ludziach Grecji i Rzymu. Piszą m. in. Abel Hermant o Platonie, Marcell Prévost o Apuleuszu, Robert de Flers o Katullusie, Piotr de Nolhac o Erazmie, Andrzej Chaumeix o Plutarchu, Kamil Jullian o Cezarze, Henryk de Régnier o Swetonjuszu.

— Tegoroczna nagroda włoskiego komitetu pokojowego przyznana została trzydziestopięcioletniemu filozofowi Wincentemu Cento, uczniowi Crocego; nagroda wynosi 50.000 lirów.

— Wydawca „Neues Wiener Journal" L. Lippowitz ufundował nagrodę 10 miljonów koron rocznie za specjalnie cenny artykuł wstępny z dziedziny polityki.

— Nagrodę Goncourtów otrzymali dotąd m. in.: Farrère za „Les civilisés" (1905), de Chateaubriant za „Monsieur des Lourdines" (1912), Barbusse za „Le feu" (1916), Duhamel za „Civilisation" (1918), Proust za „A l'ombre des jeunes filles en fleur" (1919), Maran za „Batoualę" (1922), Fabre za „Rabavela" (1923). — Nagrodę Fémina otrzymali m. in.: Rolland za „Jean Christophe'a" (1905), Estaunié za „La vie secrète" (1908), de Lacretelle za „Silbermanna" (1922).

— Państwowe nagrody czeskosłowackie po 5.000 koron każda otrzymali: K. Capek za powieść „Krakatit", K. M. Chapek-Chod za powieść „Vilem Rozkoc", R. Medem za powieść „Wielkie dni", J. Susta za studjum „Z dalekich i bliskich czasów", F. Langer za krotochwilę „Wielbłąd przechodzi przez ucho od igły", F. X. Salda za sztukę „Dziecko".

— Rząd Wenezueli przeznaczył nagrodę 15.000 piastrów za najlepszą powieść w języku hiszpańskim, jaka pojawi się w r. 1925.

— Wznowiono biuletyn Towarzystwa Przyjaciół Verlaine'a p. n. „Hommage à Verlaine".

— W Paryżu powstało nowe pismo w języku rosyjskim p. t. „Tieatr i Iskusstwo".

— W Paryżu ukazywać się będzie nowe pismo p. t. „L'Art Vivant" pod redakcją założycieli „Nouvelles Littéraires", M. du Garda i J. Guenne'a.

— Wskrzeszona grupa symbolistów „Falanga" pod kierunkiem Jana Royère rozpoczęła wydawanie bibljoteki literackiej; jako pierwszy tom wydano powieść Pawła Adam „Bóg".

— Ukazała się ulotka „Le mouvement accéléré", skierowana przeciwko nadrealizmowi Andrzeja Breton. Ulotkę podpisali: P. Dermée i C. Arnaud.

— Organ nadrealistów „Rewolucja Nadrealistyczna" ogłosił ankietę na temat „Czy samobójstwo jest rozwiązaniem"?

— „Bibliothèque Universelle" i „Revue Suisse" złączyły się z „Revue de Genève"; nowe czasopismo będzie nosiło tytuł „Bibliothèque Universelle et Revue de Genève" (redaktor: Robert de Traz).

— Nr. 2 nowego pisma młodych „Aujourd'hui" zawiera artykuł p. t. „Essai sur Paul Bourget immoraliste".

— „Revue de Paris" rozpoczęła druk nowej powieści P. Benoit p. t. „Puits du Jacob"; jest to powieść o sjonizmie.

— Październikowy numer „Die Neue Rundschau" przynosi nowelę Schnitzlera „Fräulein Else".

— Jerzy Brandes wydaje tom o Juljuszu Cezarze.

— Edward Schneider pisze biografję Eleonory Duse.

— Karol Maurras wydaje książkę p. t. „La naissance du poème".

— Henryk de Montherlant ogłasza książkę p. t. „Chant funèbre pour les morts de Verdun".

— Edgar Lee Master ogłosił dalszy ciąg swojej znakomitej „Anthologie of Spoon River".

— Nowa powieść Andrzeja Lichtenberger nazywa się „Toute et la vie".

— Ostatnia sztuka O'Neilla nosi tytuł „All Gods Choldren Got Wings" („Wszystkie dzieci Boga mają skrzydła").

— Jan Sarment napisał libretto do opery „Arlekin" Maksa d'Olonne; utwór ten będzie wystawiony w tych dniach w Wielkiej Operze w Paryżu.

Rilke i „Rzeczpospolita"

W nr. 345 „Rzeczypospolitej" pojawiła się notatka, donosząca o przedrukowaniu przez „Prager Presse" części mego wywiadu z Rilkem, ogłoszonego w nr. 46 „Wiadomości Literackich". Notatka ta zawiera twierdzenie, że Rilke, po zaznajomieniu się z treścią mego artykułu, zauważył „z przerażeniem, że cała rozmowa została zupełnie fałszywie odtworzona" i wysłał do redakcji „Prager Presse" „bardzo dotkliwe dla opinji polskiego literata sprostowanie". Całą notatkę zaopatrzyła „Rzeczpospolita" tytułem „Czy nie wstyd?"

*

Artykuł mój, z konieczności zacieśniony do ram szkicu, a w korekcie, w porozumieniu z redakcją, jeszcze skrócony, nie mógł zawierać powtórzenia całej rozmowy z poetą. Wiele tematów zarysować mogłem tylko paru słowami. Stąd niejedno wyrażenie Rilkego mogło w takim skrócie wypaść zbyt jaskrawo lub oderwanie. A już w powtórzeniu pisma niemieckiego zdanie jego o Niemczech „Nikt nie jest bardziej ode mnie ich duchowi obcy" — mogło wywołać u czytelnika niepożądane przez autora zdziwienie. To skłoniło Rilkego do następującego usupełnienia powyższej myśli („Prager Presse" z dn. 14 grudnia r. b.): „Musiałem podkreślić odstęp, jaki dzieli mnie od objawów i uzewnętrznień niemieckiego ducha (des deutschen Wesens); duch ten, tak jak się ukształtował w przemianach ostatnich dziesięcioleci, nie był mi nigdy bliski ani przekonywający. Niezaznaczonego wszakże w wywiadzie stosunku mojego do dawniejszych, wielkich jego podstaw, — które, jak się wydaje, po raz ostatni poznał i twórczo zastosował Goethe (baulich verwendet),—wcale nie miałem zamiaru się wypierać".

Pewne nieporozumienie wywołać mogła oczywista pomyłka w moim artykule: w r. 1866 wkraczali do Pragi naturalnie Prusacy, a nie Austrjacy, — a opowiadając ów fakt, chciał Rilke uplastycznić swoją antypatję do Prusaków. W sprostowaniu swijem Rilke stwierdza, że niedopowiedzenia i niedokładności leżą w „odcieniach" („in den Nüancen"), które w takim natłoku rozmów z natury rzeczy wymykają się z pod ścisłości określeń. List swój do redakcji kończy Rilke tak: „Nie mam oczywiście najmniejszego zamiaru z powodu tej pomyłki (Fehlgreifen) czynić zarzutów memu nader oddanemu i czynnemu polskiemu tłumaczowi; dwa te krótkie dni, które spędził w Muzot, przeładowane były wrażeniami i rozmowami: tak więc już w najbliższem jego wspomnieniu, dla braku miejsca niejako, to i owo mogło się poprzesuwać".

A w nader ciepłym liście, wystosowanym do mnie dn. 13 grudnia, Rilke pisze m. in.: „Sam winę ponoszę o tyle, że w opowiadaniach zamieściłem i takie tematy, dla których pan, wchodząc do mnie jako człowiek obcy, nie mógł odrazu znaleźć odpowiedniej miary; a często dawałem panu czystą sól, nie dbając o potrawę, którą dopiero trzebaby jednem ziarnkiem tej soli przyprawić".

Tak pisze sam autor „Powiastek o Panu Bogu". Gdzie więc jest owo „zupełnie fałszywe odtworzenie całej rozmowy", o którem mówi notatka „Rzeczypospolitej", gdzie jest ów „efekt druzgoczący" — i gdzie „wstyd"?

*

W tej chwili otrzymuję list od Rilkego z datą 26 grudnia, w odpowiedzi na posłaną mu przeze mnie notatkę „Rzeczypospolitej". Proszę uprzejmie o załączenie przy mojem wyjaśnieniu poniższych słów Rilkego w dosłownym przekładzie, gdyż ważna ta opinja więcej niż cokolwiek innego charakteryzuje całość sprawy i „użytek", jaki z niej zrobiła „Rzeczpospolita":

Rilke pisze: „Fakt, że moje krótkie sprostowanie (pod adresem „Prager Presse") wywołało atak (Angriff) na pana, jest skutkiem, jakiego ani nie oczekiwałem ani nie przewidziałem; zbyt mało znam zwyczaje i nadużycia prasy (die Gebräuche und Missbräuche der Presse), aby na podobne rzeczy być przygotowanym. Otóż jedna tylko okoliczność wydaje mi się ważna: aby ta najzupełniej nieznaczna sprawa przez ciągłe do niej powracanie nie nabierała zbytniego znaczenia. Atak tej polskiej gazety jest bezwzględny i wrogi (derb und feindselig) i jak mi się zdaje, sam siebie osądza (richtet sich selbst). Rozumie się, że podobny do mego list ani nie narusza ani nie umniejsza godności i honoru literackiego partnera".

Witold Hulewicz.

№ 8 miesięcznika ilustrowanego

„NAOKOŁO ŚWIATA"

zawiera:

St. Lam: Laureat Nobla — Wł. St. Reymont. — Naokoło Polski. — **St. Aubac:** Obywatel niebios Kamil Flammarion. — **K. Flammarion:** Najnowsze zdobycze w dziedzinie astronomji. — **St. Wasylewski:** Dwa arcyportrety pani Vigée Lebrun. — Naj... (szkic z krainy największych wymiarów). — **St. Dzikowski:** Piękny Benicelli (nowela). — **Boy-Żeleński:** Balzac w anegdocie. — **J. Kaden-Bandrowski:** Skarbonka. — **St. Burzyński:** Scherzo filatelistyczne. — **L. Lit:** Podróż Zeppelina do Ameryki. — **Brn.:** Koń przyszłości. — **A. W.:** Kinematograf współczesny. — **Bebe:** Mikroskop czasu. — **W. U.:** Olbrzym elektryczny. — Z fizjognomistyki (sześć twarzy płynnych). — Z teki humorysty (jak wychowywać syna). — **D. Przepiórka:** Curiosa szachowe. — Rozrywki umysłowe.

Cena zeszytu zł. **2.50**

Pomnik lotników

W czasie walk o niepodległość ojczyzny wojska lotnicze utraciły 27% osobowego składu latającego. Poległo śmiercią chwalebną 120 Polaków oraz 3 oficerów amerykańskich z eskadry im. Kościuszki.

Pragnąc uczcić pamięć tych bohaterów, departament lotnictwa przy ministerstwie spraw wojskowych zwrócił się do Edwarda Wittiga o projekt pomnika, który w r. 1922 opracowany został w 1/6 wielkości naturalnej. Projekt przyjęto bez zastrzeżeń, wobec czego rozpoczęły się prace przygotowawcze, mające na celu ostateczne wykonanie. Ponieważ w ten sposób sprawa pomnika wkracza w okres realizacji, przeto godzi się zastanowić nad stroną artystyczną dzieła.

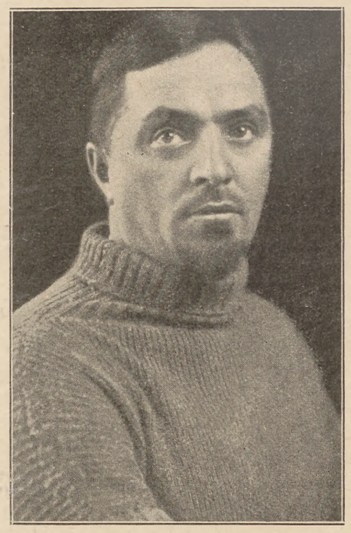

EDWARD WITTIG

Dzieło Wittiga, aczkolwiek poświęcone pamięci poległych, jest jednak w założeniu egzaltacją życia i współczesności w jednym z jej najbardziej uderzających objawów — w opanowaniu przestrzeni powietrznej. Ta nowoczesność jest też pod względem artystycznym podstawową zasadą dzieła. Pomnik przedstawia lotnika, wspartego o śmigło i umieszczonego na prostym, geometrycznym niemal cokole. Cokół wykonany ma być z granitu i mierzyć około 5 m. wysokości. Tą samą prostotą odznacza się figura, która odlana będzie w bronzie i której wysokość wyniesie około 4,5 m.

Zadanie, jakie postawił sobie artysta, było trudne tą właśnie współczesnością, z natury rzeczy uniemożliwiającą oparcie się na jakichkolwiek wzorach dawnych. Trudność wzrastała skutkiem braku pierwiastków dekoracyjnych, nie nastręczał ich bowiem nowoczesny strój postaci, pozbawiony wszystkiego, co mogłoby wykraczać poza najściślejszą celowość.

Te właśnie trudności wyzyskał Wittig wyjątkowo szczęśliwie ku podniesieniu wartości artystycznej swego pomysłu. One to właśnie pozwoliły mu na osiągnięcie tej wielkiej, monumentalnej prostoty, która stanowi jedną z największych zdobyczy sztuki nowoczesnej. Piękno postaci, wieńczącej pomnik, polega przedewszystkiem na świetnie wyczutej rytmice; na ruchu, w którym rzeźbiarskie „contraposto" znalazło zupełnie nowy wyraz.

PROJEKT POMNIKA

Motywem przewodnim owej rytmiki jest cudownie w swej celowości harmonijny kształt śmigła samolotowego z jego nieuchwytnie subtelnem wygięciem; jeden z owych kształtów przeczystych, które zrodziła mechanika współczesna i które tak fascynujący wpływ wywierają na sztukę najnowszą. Nieomylnie ścisły bieg owego wygięcia znajduje kontrapuktyczne niejako dopełnienie w ruchu lotnika, którego postać, wsparta na jednem biodrze, z głową zlekka odwróconą i z lewą ręką, wzniesioną ku zakończeniu śmigła, w sposób wyjątkowo subtelny powtarza i akcentuje harmonję tych gnących się płaszczyzn, splatając się z niemi w jedną organiczną całość.

Poza swem znaczeniem uczuciowem — uczczeniem pamięci obrońców ojczyzny — dzieło to pozostanie jako trwały ślad stylu znamionującego naszą epokę. Stanowi o tem jego głęboko pojęta współczesność, jego zupełne wyzwolenie się z anachronizmów, będących plagą dzisiejszej rzeźby pomnikowej.

Wacław Husarski.

Wystawa architektów

Odbyła się wystawa szkiców podróżniczych studentów architektury na politechnice. Otwarto ją uroczyście, zwiedzano tłumnie, zakończono z pewnem rozczarowaniem.

Ponieważ już się skończyła, ponieważ nie była pierwsza i inne — szczęśliwsze od niej — pamiętamy, kreślę te uwagi, które stojącemu z ubocza i świadomemu odwrotnej strony medalu nasunąć się musiały, a które nikomu już dzisiaj krzywdy nie uczynią, co najwyżej — staną się lekką przestrogą na przyszłość.

Popełniono bowiem kilka błędów, z których najważniejszy bodaj był zbyt pobłażliwy sąd kwalifikacyjny. Nie uwzględniono tej okoliczności, że wirtuozowskie rysunki dojrzałego już zresztą artysty, jakim jest Bohdan Pniewski, staną się zabójczem sąsiedztwem dla jego młodszych kolegów, przechodzących dopiero artystyczne ząbkowanie.

Kiedy w r 1919 prof. Zygmunt Kamiński odbył wycieczkę z gronem swych uczniów na świeżo odzyskane Pomorze, nie wahał się pokazać prac swoich — znakomitych rysunków — razem ze studjami współtowarzyszy podróży. Ale wonczas zarządzono surową cenzurę i utrzymano poziom wystawy tak wysoki, że chociaż wypełniono nim zaledwie szczupłą salkę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, to jednak wystawców spotkała zasłużona nagroda, gdyż rozprzedano prawie wszystko, a dzieł, nabytych przez departament sztuki, użyto ku ozdobie oficjalnych salonów belwederskich.

W dwa lata później podobny triumf święciła wystawa „francuska" w Kamienicy Książąt Mazowieckich, przetrzebiona uprzednio przez wodza wyprawy, prof. Rudolfa Świerczyńskiego. To co zobaczyliśmy wówczas odbiegało daleko od poziomu szkolnego.

Tym razem, niestety, nazwisko prof. Kamińskiego nie widniało w katalogu wystawy. To też minimum wymagalne mocno złagodniało, obejrzeliśmy wiele prac, których lepiej było nie pokazywać,—a przecież kryterjum kwalifikacyjne istniało, wszak wystawiono dzieła, które oglądaliśmy i w 1919 i w 1921 r.; wedle ich poziomu należało mierzyć wysiłek innych, ażeby tegoroczna wystawa była krokiem naprzód — a nie wstecz.

Sytuację można było uratować przez dodanie — przy nazwiskach autorów — wskazówki, na którym semestrze studjów się znajdują, jak dalece w nauce rysunku są posunięci. Unikniętoby wówczas — zgubnej dla wielu — wspólnej miary sądu artystycznego. Przecież zrozumiałe jest dla każdego, że późniejszy rysunek rozwijającego się artysty jest lepszy od poprzedniego, więc jeżeli możemy pokazać dostateczną ilość rzeczy dobrych, poco osłabiać wrażenie gorszemi?

Atak zwartym szykiem dostatecznie przetrzebił niemieckie szeregi podczas wojny światowej, pocóż naszym artystom karku nadstawiać? Odbiło się to i na sprzedaży. Różnorodność dzieł, sprawiwszy różnowartość cen, zbałamuciła publiczność; to też w wyniku ostatecznym plon sprzedaży był nikły, i stokroć lepiejby się stało, gdyby auli politechniki nie zamieniano na „hôtel des ventes".

Lecz mimo przeładowania pracami przeciętnemi, mimo trochę dziecinnego hałasu, jaki czyniono wokół wystawy, nie przeszła ona bez śladu. Kilka nazwisk dawniejszych, kilka nowych, świadczy aż nadto dobitnie, że myśl architektoniczna tężeje, że wśród młodych architektów wyrastają talenty niepospolite, wróżąc architekturze polskiej rychłą pełną chwały przyszłość.

A jeżeli zważymy, że wysiłek politechniki warszawskiej napotyka licznych wrogów, dopatrujących się w każdym śmielszym porywie skutków agitacji „bojującej żydowszczyzny", wilkołackiego futuryzmu, że ta politechnika musi nie tylko kształcić i do wykonywania zawodu architektonicznego sposobić, ale równocześnie misjonarską pracą krzewić prawdy na szerokim świecie oczywiste, — jeno w bractwach adoracji wzajemnej dalece wywrotowe, — wówczas sąd nasz złagodnieje.

Nie jest bowiem koniecznością, by architekt umiał pięknie malować, chociaż rzadko któremu umiejętność ta dała się we znaki.

Niedalekie to czasy, gdy architekci znali swe dzieła tylko powierzchownie, składając trud przygotowania planów i rysunków na barki pomocników-aplikantów.

Niezbyt oddalona jest chwila narodzin czy też renesansu idei, że jeżeli architektura ma być sztuką, to architekt powinien być raczej artystą, niż businessmanem. Hasło to wywiesiła politechnika warszawska, ono powinno było być rdzeniem pacierzowym wystawy, ono powinno stać się taranem, bijącym w mur strupieszałych, jadowitych, jak dotąd niezłomnych, zasad normujących życie architektoniczne w Polsce.

Lech Niemojewski.

TEATR

QUI PRO QUO

dziś i codziennie

rewja

F F

Camera obscura

Cervantes po amerykańsku.

Bardzo śmieszna opowieść o

Don Kiszocie z Manszy

który na chudej kobyle wyjechał w świat, aby bronić stanu rycerskiego i czci kobiecej i z tego powodu miał różne wypadki.

W książce tej więcej jest śmiechu, niż w dziesięciu pismach humorystycznych przez 10 lat; więcej zadowolenia, niż od wypicia wielkiej beczki piwa; więcej rad i przestróg, niż we wszystkich książkach kucharskich; więcej animuszu, niż w stu mowach politycznych i t. d. Jeżeli nie masz tej książki, to nie czekaj ani dnia, ani godziny, ani minuty, ale zaraz poślij dol. 2 do księgarni, aby ci tę książkę posłano i to pośpiesznie.

Skoro otrzymasz tę książkę, możesz się z nią rozłożyć wygodnie a z czytania będziesz miał więcej uciechy, niż ze stu centów; więcej ochłody, niż z pełnych beczek „ajskremu", więcej podniety, niż z towarzystwa 50 dam!

Może nie wierzysz? Przekonać się możesz o tem wszystkiem zupełnie darmo! Gdybyś nie był kontent z książki, możesz ją zwrócić, a otrzymasz w zamian inne książki lub pieniądze. Kto ma duszę w ciele i dol. 2 w kieszeni, niech się nie martwi!

Nie siedź dudku zaniepokojony, nie susz sobie mózgownicy nad tem, co masz robić podczas upałów. Wszystko złe minie, a dobro nastanie, skoro kupisz

DON KISZOTA Z MANSZY

NOWE WYDANIE W PIĘKNEJ OPRAWIE

Cena dol. 2

Kto przyśle dol. 4.50 będzie pokwitowany za Tygodnik „Amerykę-Echo" na rok a w dodatku otrzyma „Don Kiszota" odwrotną pocztą

Adres: A. A. PARYSKI, Toledo. O.

(„Ameryka - Echo", Toledo-Ohio, 31 lipca 1924).

Polemika.

Z artykułu Michała Gonerki „List otwarty do wszystkich" (Nadniemeński Kurjer Polski, 26 października 1924):

„...Co do Korulskiego — to się pokazało, że jest on nie tylko summo grado świnią — lecz także pierwszej klasy chamem.

Na moje listy — obiecał pannie Jadzi nie odpowiadać — no bo i słusznie — skoro przywłaszczył sobie różne rzeczy— jak teczkę skórzaną, pieczątki, skorowidz, 3.700.000 pozostawione na stemple do pozwolenia na broń, — no i całą kupę innych kwot, skoro nie wykupił weksla na 10 miljonów ze sierpnia 1923 r. — który ja musiałem wykupić i procent zań zapłacić, skoro więc zabranych bezprawnie zwrócić nie chce — to po co będzie pisał".

Tyranja szaradowa.

W „Kurjerze Warszawskim" (23 października 1924) znajdujemy następujące ogłoszenie:

„Baczność!

Z okazji sprowadzenia zwłok Henryka Sienkiewicza do Warszawy sprzedajemy niżej kosztu całkowitą „Trylogję" Sienkiewicza drogą rozwiązania poniższej szarady, t. zn. każdy, kto rozwiąże szaradę oraz nadeśle w kopercie 5 zł. p. i swój dokładny adres, Warszawa, Poczta Główna, skrzynka nr. 490, otrzyma odwrotną pocztą całkowitą „Trylogję" Sienkiewicza.

Bilety wizytowe:

TATELA GROSZOPAS K. MIECH

Z podanych na wizytówkach liter nazwisk, ułożyć zajęcie poszczególnych osób.

Uwaga: Zgłoszenia przyjmowane będą tylko do dnia 10 listopada b. r."

A więc kto nie odgadnie szarady, ten napróżno wysyłać będzie pięciozłotówki, błagając o przysłanie mu „Trylogji"! Groźny objaw: szarady zaczynają się wkradać nawet do ogłoszeń „Kurjera"!

Skomplikowana historja.

Ogłoszenie z „Gazety Gdańskiej" (18 października 1924):

„Wyścielania

Francuz, któremu skradziono garderobę, prosi o pracę jako tapicer. Wzamian płacy przyjmuje noszoną garderobę. Oferty pod nr. 3490 do „Gazety Gdańskiej".

Tajemnicze zapytanie.

W „Kurjerze Poznańskim" z dn. 7 lutego 1924 r. przerażeni mieszkańcy grodu przemysławowego przeczytali tajemnicze ogłoszenie:

„Gdzie mogę kilka psów w ciepłej wodzie wykąpać? Zgłoszenia do Kurjera, ulica Stary Rynek".

Matrymonjalne.

„Ożeni się biedny, lecz jurny. Oferty: „Inteligent". Warszawa, Widok 19, „Promień" („Fortuna", nr. 31).

Kino „ROCOCO"

(Nowy Świat 63)

„Königsmark"

podług

słynnej powieści

Piotra Benoit

Opuścił prasę

Nr. 34—36

miesięcznika poetyckiego

„Skamander"

za grudzień 1924 r.

i zawiera:

Juljana Tuwima
- Trzy wiersze z cyklu „Słowo i ciało"
- Muza czyli kilka słów zaledwie
- Niema kraju...
- Wóz
- Do Franciszka Fiszera
- Mieszkanie

Antoniego Słonimskiego
- Wiosna jesieni
- Dzień chwały
- Lato w Warszawie
- Modlitwa
- Niebo

Kazimierza Wierzyńskiego
- Błahe zdarzenia
- Miłość
- Podczas słoty
- Strzała

Karola Irzykowskiego
- O perfidji, monografja psychologiczno-społeczna

Marji z Kossaków Pawlikowskiej
- Salamandry
- Szpilki
- Po burzy
- Pająk

Ireny Tuwim

***
- Jak umierałam
- Dziki wieczór
- Wielki strach prawdziwego księżyca

Jerzego Lieberta
- Do Anny
- Miłość
- Pan Bóg i bąki
- Koncha, perły i słowik

Wilama Horzycy
- Wędrówki Everymana, rzecz o poezji Juljana Tuwima

Mieczysława Brauna
- Krzyk ostateczny
- Polska

Władysława Broniewskiego
- Młodość
- Wiatraki

Wilama Horzycy
- Antyfona

Stanisława Balińskiego

***

Stanisława Rudawy
- Leśni ludzie

„Lektor" contra „Skamander", wyrok sądu apelacyjnego

Cena egzemplarza **3 zł.** — Administracja „Wiadomości Literackich", Warszawa, Świętokrzyska 30 m. 5, konto czekowe 8515, wysyła poszczególne egzemplarze za zaliczeniem pocztowem i przyjmuje prenumeratę na r. 1925 w stosunku 8 zł. kwartalnie wraz z przesyłką pocztową. — Prenumeratorzy „Wiadomości Literackich" otrzymują 25% zniżki.

ANIA Z AVONLEA

L. M. MONTGOMERY

Wydawnictwo B. Rudzkiego

Karton cena 6 zł.

Przypominamy Szanownym Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę za kw. I (cena zł. 6.50, konto w P. K. O 8515)

Kurjer kinowy

Palace: „Nibelungi". — **Komedja:** „Wyspa zatopionych okrętów".

Wyświetlany teraz w Kinie Palace film niemiecki „Nibelungi" obejmuje dopiero połowę sławnej „Pieśni o Nibelungach", lecz już z tej połowy można nabrać pewnego pojęcia o całości. To jest film, który powinien zobaczyć każdy, kto się interesuje kinem. Można mu przyznać w pełni rangę monumentalności. Ale „monumentalność" jest nie tylko rangą, jest także pewną techniką. Co to jest pomnik? Jest to artystyczna apoteoza zdarzenia, człowieka już skądinąd znanego. Jak najwięcej trzeba wtedy dbać o to, aby pomnik miał wartość artystyczną własną, ale mimo to nie pozbywał się uczuciowej służby dla owego momentu, który ma uświetnić. W filmie jest to trudniejsze niż w rzeźbie i w malarstwie. Przykładem na to są owe „Nibelungi". Film musi tu wciąż starać się, aby nic nie uronić z wartości już wydobytych przez poezję (w „Pieśni" i w cyklu legend), a zarazem, aby stwarzać dla nich równoważniki kinowe tak silne jak te, które Wagner stworzył w muzyce.

Otóż ciekawe jest, że najsilniejsze akcenty tego filmu bynajmniej nie schodzą się z najsilniejszemi akcentami poematu i prócz tego wogóle są piękne raczej po malarsku, niż kinowo. Możnaby je nawet wykroić i podać w serji obrazów stałych (nie tranzytorycznych), takich, jakich wiele i w bardzo dobrej jakości produkowano w epoce pierwszych przedstawień Bayreuthu. Tak więc dominuje w filmie obraz Zygfryda, jasnego młodzieńca na białym koniu, jak pewny siebie jedzie w niepewną dal, a mgła świetlista rozstępuje się przed nim. Nogi bez strzemion, rozwarte na koniu wygodnie, dają wrażenie dumy, siły, kolosalności. Potem owi czterej rycerze burgundzcy na ganku zamkowym w Wormacji, jednolici, jakby wzięci z ornamentu, — przypominają wizję Wyspiańskiego:

„A stróże wąsale ściskają mieczyska
Na czatach na zamku, w Krakowie".

Malarską kwintesencją niedostępności jest zamek Brunhildy w Isenstein, skalisty i promienny. Wogóle natura legendarna zrobiona jest w filmie po mistrzowsku. Niesamowite wykroty leśne, olbrzymie głazy, wnętrze prymitywnej kopalni Alberycha — wszystko to pozostawia niezatarte wrażenie.

Ze scen ruchowych również najlepsze są te, które zdążają do zastygnięcia w całym obrazie (w mojej książce nazwałem takie sceny „kameami"). A więc np. ta, gdzie Zygfryd, ukuwszy miecz, obraca nim triumfalnie. Gdzie Alberych i jego karły pod wpływem przekleństwa przemieniają się w głazy. Ambicje kinowe najnowszej daty pokazują się w odtworzeniu snu Krimhildy: nieokreślone falowania senne (film abstrakcyjny), które się w końcu skupiają w scenie dwóch walczących ze sobą ptaków.—Eksperymentem filmowym są też sceny, w których postać Guntera walczącego z Brunhildą zrasta się z „astralną" postacią pomagającego mu Zygfryda, — ale i ten eksperyment ma precedensy w obrazach z pierwszych czasów Bayreuthu. Z innych scen ruchowych o tym zakroju nawpół malarskim wymienić należy tę, w której Hagen zmierza się do rozstrzygającego rzutu włócznią: jego postać „rysuje się" na tle nieba, na skraju lasu. Bezwzględnie dobra pod względem czysto ruchowym jest scena, w której Zygfryd, spostrzegłszy smoka, zeskakuje ze skały i rzuca się na niego. Ale sama walka ze smokiem mimo dużego nakładu technicznego nie udała się: ten smok „łazuje", daje się pobić bez wielkiego trudu, tylko jego zdychanie jest godne smoka. To nie jest bagatela, — tego, co się wierzy legendzie i poezji, nie wierzy się filmowi. Nielada zadanie: zachować urok baśni, a nie prowokować myśli o prawdopodobieństwie i nieprawdopobieństwie. —Zadanie to po części nie zostało w filmie spełnione tam, gdzie idzie nie o martwą naturę, o zamki, lasy, niesamowite postacie, lecz o ludzi. Mają to być ludzie przerastający dzisiejszą miarę. Trzebaby na to doskonałych aktorów, lecz zarazem atletów. Za mali, za pospolici są ludzie tego filmu. Jeden Zygfryd promiennością twarzy swojej dorasta do zadania, ale i on czasami biega jak chłopczyk... Brunhilda z puszkiem sypiącym się nad ustami, z błyskającemi oczami — jest monumentalną, ale sufrażystką. W ten to sposób zbyt wielka indywidualność twarzy aktorskich psuje typowość, przekazaną nam w tradycjach poezji. Krimhilda nieładna, może będzie lepsza w drugiej serji filmu, gdy wystąpi jako mściwa megera. Gunter, Volker są w sam raz. Hagen nie zadowala. Duże chłopisko, ale za chude, twarz raczej dobroduszna niż demoniczna, mimo że dla charakterystyki uczyniono ją — niepotrzebnie — ślepą na jedno oko i przydano jej jakiś liszaj na nosie. Z profilu i wogóle sylwetkowo nieźle się jednak przedstawia, np. w scenie, gdy stoi przy oknie i patrzy w dół, przyczem widać cały jego długi korpus z nieco obsuniętemi nogawicami. Może w drugiej połowie ten Hagen lepiej się popisze.

Narazie ten film za wiele wyzywa do porównań: jak jest zrobione w filmie to lub owo, znane z poezji. To niedobrze świadczy o samodzielności dzieła. Winę ponosi może scenarjusz, zrobiony bez poetyckiego polotu. Zaczynać odrazu od tak silnego akcentu jak kucie miecza, to za ryzykowne. U Wagnera jest to scena kulminacyjna. Czynić Hagena Grabskim, dbałym o finanse Burgundji, to nietakt. Ale jeszcze większy nietakt jest, gdy Brunhilda, aby poszczuć Guntera przeciw Zygfrydowi, szepce mu do ucha: „Zygfryd wziął mi nie tylko pasek, ale i... coś jeszcze". Tego w „Pieśni" wogóle niema, jest to pomysł ordynarny, wprowadzający do stylu monumentalnego nowoczesny dysonans.

*

„Wyspa zatopionych okrętów" jest filmem zachwycającym. Nie dlatego, że przyszedł zapewne z Ameryki, więc modnie jest go chwalić. Ale dlatego, że tło jest tutaj tak ściśle zespolone z akcją. Tło idealne, sensacyjne: wyspa na morzu Sargassa, która się utworzyła z biegiem czasu z okrętów pochwytanych przez wodorosty. Już sam okręt jest sprzętem „fotogenicznym", jako że jego różne urządzenia, jego cudna budowa umożliwiają najciekawsze kombinacje ruchów, czynią go osobnym światem. Cóż dopiero takie skupisko okrętów-ruin, pełne dziwnych zakamarków i niespodzianek. Według mojego rozumienia najczystszem kinem są właśnie sceny ruchowe, wynikające z takich ukształtowań materji. W „Wyspie" temu postulatowi najlepiej odpowiadają sceny burzy na okręcie i sceny, w których Howard z Jacksonem zwiedzają niesamowitą wyspę, w końcu sceny w łodzi podwodnej i naokoło niej. — Doskonałym pomysłem, ale już literackim, jest to społeczeństwo anarchistyczne, które się uformowało na tej wyspie. — Jest też scena pojedynku boksowego: prawdziwa, autentyczna, rozszalała; a jednak równocześnie przebija się w niej zamiar artystyczny, choćby w sprawiedliwem rozłożeniu szans, choćby w takich dobrze upatrzonych szczegółach, jak wciągnięcie także świadków w wir wściekłej walki.

Karol Irzykowski.

Ostatni tom poezyj

Gabrjela KARSKIEGO

p. t.

GRA

Skład główny: T-wo Wydawn. „IGNIS"

ROSYJSKIE WYDAWNICTWO I KSIĘGARNIA

„PŁAMIA"

(PRAGA-CZECHOSŁOACJA)

Oddział w Warszawie, Niecała 4, tel. 151-39.

Wszystkie nowości rosyjskiego rynku książkowego.

Centralny na całą Polskę skład rosyjskich książek — ma zupełną możność dostarczania czytelnikom rzeczywiście taniej rosyjskiej książki Bibljotekom, zakładom i instytucjom naukowym i społecznym udziela się rabatu. Księgarniom specjalne warunki. Zakup wszelkiego rodzaju antykwarskich (przedwojennych) wydawnictw. — Książki wysyła się za zaliczeniem. — Katalogi na żądanie.

Wielki wybór książek z zakresu historji sztuki i teatru

Muzyka

Nokturny Debussy'ego — Chór im. Smetany — Mikołaj Orłow.

Moje świąteczne baraszki wygnały mi z ostatniej recenzji wspomnienie o niezwykle pięknem wykonaniu nokturnów Debussy'ego, dla których opłaciło się przebrnąć przez pierwszą część koncertu, gdzie p. Wacław Kochański kaleczył w straszliwy sposób biedaka Brahmsa.

Nokturny te świeżością swą i głęboką poezją zostawiają w duszy zawsze jakieś echo lepszych światów — a tym razem doskonałe, subtelne brzmienie orkiestry i zlewającego się z nią chóru (zespół uczenic p. Zboińskiej) zachwyciły prawdziwie.

Ładny także był koncert czeskiego chóru im. Smetany. Świeże brzmienie głosów (prześliczne tenory), doskonała czystość i rytmika — nie zdołały jednak zatrzeć nudy muzyki czeskiej, którą ten chór zasadniczo uprawia. Jedna ludowa piosnka polska (zdaje się — wiodąca swój rodowód, a przynajmniej wpływy, z Ukrainy), wykonana przez Czechów, dała mi więcej zadowolenia, niż wszystkie utwory Ostrcila, Förstera i Smetany. Koncert zamienił się zresztą w serdeczną manifestację braterskich uczuć — szkoda, że tak mało polskiej publiczności wzięło w niej udział.

Ostatnio znowuż przypomniał się słuchaczom warszawskim Mikołaj Orłow. Niezwykły to muzyk. Posiada w grze swojej tak potężny i ujmujący czar, tyle poetyczności, którą przepaja nawet najbanalniejsze lisztowskie fidrygałki, że zawsze, nawet grając koncerty Saint-Saënsa czy Liszta wieżę Babel, — potrafi wzruszyć. Kompletne przeciwieństwo Artura Rubinsteina—jest jego pięknem dopełnieniem. Tam imponująca swada, impet, temperament, — tu zaduma, poezja, subtelność, aksamitne (nie nadto głębokie!) dotknięcie, smak i umiar w wykonaniu bisowych błahostek. Prawdziwa rozkosz.

Z przyjemnością słuchało się również „Stepu" Noskowskiego, utworu, w którym świtający ledwie przejrzysty impresjonizm po raz pierwszy wystąpił w muzyce polskiej w walce o swoje prawa, aby ulec przemocy niemieckiej muzyki programowej, ciężkiej, olbrzymiej i obcej nam, jak wykonane na tym samym koncercie „Życie bohatera". Trzeba rzeczywiście mało mieć serca i krwi polskiej w żyłach, aby cierpliwie wysłuchać tej machiny, a potem jeszcze klaskać tak zawzięcie. Coprawda — oklaski należały się Fitelbergowi za dzielne prowadzenie.

ji.

Tydzień bibljograficzny

informacje dostarczane przez księgarnię E. Wende i S-ka

Powieść, nowela

Bibljoteka Tygodnika Illustrowanego. Tom IX. **Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).** Pisma. Tom dziewiąty. Emancypantki. Powieść. Tom trzeci. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1924); str. 142 i 2nl.

Rainer Maria Rilke. Dorosłym dla dzieci opowiedział powiastki o Panu Bogu. Z 38-ego tysiąca wydania oryginalnego tłumaczyli **Marja Czabanówna** i **Witold Hulewicz.** Zdobił **Józef Hollak.** Warszawa, Witold Hulewicz, 1925; str. 159 i 3nl. Zł. 7.—.

Wł. St. Reymont. Legenda. Z 5 drzeworytami **Wł. Skoczylasa.** Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1924; str. 36 i 4nl. Zł. 75.—.

Artur Schnitzler. Grecka tancerka. Wydanie czwarte. Przekład dr. **Henryka Monata.** Warszawa, „Renaissance", (1924); str. 119 i 5nl. Zł. 3.—.

Kazimierz Przerwa - Tetmajer. Koniec epopei. Wydanie trzecie. Tomów 3. Warszawa, M. Ostaszewska i S-ka, 1924; str. 4nl. i 340 (I), 4nl. i 236 (II), 4nl. i 183 i 1nl. (III). Zł. 13.50.

Józef Weyssenhoff. Noc i świt. Powieść historyczna współczesna. Okładkę rysował **A. S. Procajłowicz.** Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1924; str. 480. Zł. 9.—.

Poezja

Czartak. Zbiór poetów w Beskidzie. Poezje **Janiny Brzostowskiej, Edwarda Kozikowskiego, Tadeusza Szantrocha, Emila Zegadłowicza.** Okładkę oraz inicjał na stronicy siódmej projektował i wykonał **Jan Hrynkowski.** (Warszawa), „Czartak", 1925; str. 110 i 2nl.

Leon Rygier. Gemma. V-ta serja poezyj. Okładkę rysował **Franciszek Siedlecki.** Warszawa, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, 1925; str. 62 i 2nl.

Dramat

Romuald Balawelder. Walerjan Łukasiński. Ofiarowanie dramatyczne w 3 aktach z prologiem. Warszawa, 1925; str. 168.

Zygmunt Nardycz. Matka. Utwór dramatyczny w trzech odsłonach. Z cyklu: „Wojna". Warszawa, 1925; str. 49 i 1nl.

Filozofja

Edward Abramowski. Pisma. Pierwsze zbiorowe wydanie dzieł treści filozoficznej i społecznej. W opracowaniu i z przedmową **Konstantego Krzeczkowskiego.** Warszawa, Związek Polskich Stowarzyszeń Spożywców, 1924; str. CIV i 2nl. i 413 i 1nl.

Dhammapadam. Z palijskiego przełożył **St. Fr. Michalski-Iwieński.** Okładka rysunku **Wandy Gentil - Tippenhauer.** Warszawa, Ultima Thule, 1925; str. XX i 109 i 3nl. Zł. 7.—.

Historja i geografja

Tadeusz Kossak, major w. p. Wspomnienia wojenne (1918—1920). Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1925; str. 4nl. i 143 i 4nl. Zł. 3.60.

Joachim Lelewel. Pamiętnik z roku 1830—31. Przedmową i przypisami zaopatrzył **Janusz Iwaszkiewicz.** Z 12 ilustracjami. Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1924; str. XII i 163 i 3nl.

Z filareckiego świata. Zbiór wspomnień z lat 1816—1824. Z 24-ma ilustracjami. Wydał **Henryk Mościcki.** Warszawa, „Bibljoteka Polska", 1924; str. 372 i 2nl.

Miscellanea

Kalendarz spółdzielczy na rok 1925. Warszawa, Wydział Propagandy Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywców, (1924); str. 133 i 11nl.

Sprawozdanie Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywców, 1923; str. 142 i 2nl.

Książki dla młodzieży

Roald Amundsen. Życie Eskimosów. Opis podróży do bieguna północnego w latach 1903—1907. Dziwy Świata. Nr. 1. Warszawa, „Zdrój", (1924); str. 90 i 2nl.

Bibljoteczka Straszliwych Przygód. Warszawa, „Zdrój", (1924). — Nr. 1. Duch Kenterwilu. Napisał **Oskar Wilde.** Przekład **R. Centnerszwerowej.** Str. 26 i 2nl.— Nr. 2. Wyspa Aepiornisa. Dziwna przygoda poszukiwacza na wysepce w pobliżu Madagaskaru. Napisał **H. G. Wells.** Tłumaczył **P. Laskowski.** Str. 24. — Nr. 4. Dwa spotkania. Napisał **Charles Sealfield.** Tłumaczyła **Joanna Ciemierzyna.** Str. 27 i 1nl.

Waldemar Bonsels. Lud Boży. Książka o kwiatach, zwierzętach i Bogu. Z 370 wydania przetłumaczył z niemieckiego **Paweł Laskowski.** Warszawa, „Zdrój", (1924); str. 206 i 2nl. Zł. 350.

Marja Buyno - Arctowa. Perły księżniczki Maji. Bajka nie bajka, błękitnemu chłopcu opowiedziana, dla młodszych i starszych napisana. Warszawa, M. Arct, 1925; str. 155 i 3nl.

Robinson Kruzo. Jego życia losy, doświadczenia i przypadki. Według angielskiego oryginału **Daniela Defoe.** Opracował dla polskiej młodzieży **Franciszek Mirandola.** Ilustrował **Jerzy Szolc.** Warszawa, „Zdrój", (1924); str. 154 i 6nl.

NAGRODA NOBLA 1924 r.

WŁ. ST. REYMONT

CHŁOPI

arcydzieło, które zjednało autorowi wszechświatową sławę, ukazało się już w nowem wydaniu

W druku: Insurekcja—Nil desperandum (tomy II i III trylogji p. t „Rok 1794" — Pism Reymonta tomy XIII i XIV)

TEGOŻ AUTORA:

Bunt — baśń	Zł.	4.80
Fermenty (Pisma, t. X i XI)	„	10.—
Komedjantka (Pisma, t. IX)	„	6.60
Na zagonie (Pisma, t. VIII)	„	2.85
Osądzona — Księżniczka, dwie opowieści	„	3.35
Ostatni Sejm Rzeczypospolitej („Rok 1794", t. I, Pisma, t. XII)	„	6.70
Sprawiedliwie (Pisma, t. I)	„	2.50
Ziemia obiecana (Pisma, t. VI—VII)	„	7.50

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol.. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście; drobne 5 groszy za słowo. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Świętokrzyska 30 m. 5, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 46-73. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI.
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI.